

Bestia z Czarnego Zamku

Coffman Elaine



calibre 0.9.43

Elaine Coffman

Bestia z Czarnego Zamku

PROLOG

Szkocja w II poł. XVII w.

Pierwsze lata po bitwie pod Culloden Maar

Nie był wyższy niż przeciętny człowiek śmiertelny, ale klątwy i mroczne przepowiednie sprawiały, że wydawał się istotą z innego świata. Ostatni lord, jedyny, który ocalał z potężnego klanu Macqueenów. Osamotniony i zgorzkniały, co noc wychodził na mury Czarnego Zamku, niegdyś fortecy nieugiętej, teraz prawie ruiny bez połowy dachu, wznoszącej się majestatycznie nad skalistym stokiem. Wychodził na mury, przykuczał, i smagany porywistym słonym wiatrem, patrzył w dal na północ, tam, gdzie za oceanem jest Arktyka. Wyglądał wtedy tak samo dziko jak wyspa, na której mieszkał. Tak samo zawzięty, jak jego przodkowie, Celtowie i Wikingowie. I tak samo zimny i bezlitosny

jak Szkocja.

A był czas, kiedy śmiał się i kochał. Kiedy znany był pod swoim chrześcijańskim imieniem jako Robert Macqueen. Ci jednak, którzy go tak zwali, pomarli. Leżeli teraz w ziemi zimni i milczący jak Głazy z Callanish. Wszyscy. Ostał się tylko on jeden, człowiek teraz w środku umarły. Karmiący się tylko nienawiścią, tak samo gorącą jak miłość, którą kiedyś darzył innych.

Dla tych, co żyli na Szetlandach, stał się Bestią z Czarnego Zamku. Ludzie szeptali, że kiedy księżyc w pełni srebrzy chłostane wichrem mury starego zamku, długie czarne włosy lorda robią się jeszcze dłuższe, a niebieskie oczy zmieniają barwę. Stają się jasnożółte, jak u wilka. Mało kto w to nie wierzył, na całej bowiem wyspie nie było istoty, która choćby raz nie słyszała upiornego zawodzenia, unoszącego się ponad strumykami i ciemnym torfem porośniętym krzewinkami wrzosu.

On szuka swojej zmarłej żony, mówiono wtedy. Każdy przecież, kto żył na tych wyspach, znał tragiczną historię ostatniego lorda z klanu Macqueenów.

Stał się człowiekiem-legendą, o którym szeptano za zamkniętymi drzwiami, wzbudzającym litość i jednocześnie największy strach.

Żył on bowiem w miejscu czarodziejskim, tam, gdzie Atlantyk styka się z Morzem Północnym. To tutaj grzmiące wiry obracają potężnymi kamieniami młyńskimi, mieląc sól, tę przyprawę

morskiej wody.

A może to Czarny Zamek był miejscem przeklętym. Tak twierdzili wieśniacy. Mówili, że tu właśnie, w wodach oblewających wyspę, żyje zły duch Szetlandów, który. ukazuje się na brzegu pod postacią białego konia. Biada temu, kto wskoczy mu na grzbiet.

K

oń zabierze go na zawsze w mroczną toń.

Każdego. Tylko nie jego, Bestię z Czarnego Zamku.

RODZIAŁ PIERWSZY

Lady Anne CroEton siedziała w łodzi cichutko i skromnie. Tylko z pozoru, ponieważ w lady Anne nic nie było potulne. Jej bystry wzrok śledził każdy ruch bezzębnego osilka siedzącego u wiosła niewielkiej łodzi, którą przewożono ją na brzeg. Było oczywiste, że umysł tego indywiduum jest tak samo przesiąknięty rumem, jak umysł kapitana i lady Anne powinna była wcześniej porządnie się zastanowić, zanim wykupiła miejsce na statku o nazwie "Misadventure"**.

Fala uderzyła o łódkę. Pysznic lodowatej wody nie oszczędził najlepszej sukni lady Anne, także parasolki i kapelusza] a na domiar wszystkiego gamoń przy wiosłach miał czelność się roześmiać. Cierpliwość lady Anne osłaniała już tylko powłoczka cieniutka jak bibułka, dlatego przyrzekła sobie, że jeszcze jeden powód do irytacji, a parasolka zostanie użyta w sposób może nie całkiem zgodny ze swoim przeznaczeniem.

Łódka

zbliżała

się

do

brzegu

i

Anne

Z

rosnącym

podekscytowaniem popatrywała na miejsce, o którym pisał jej ojciec. Z podekscytowaniem, ale i także z niepewnością. Ojciec pisał o zamku Ravenscrag, tymczasem wyspa, do której płynęli, wyglądała na bezludną. W dali majaczyły tylko ruiny jakiejś starej budowli bez dachu, bardzo starej pochodzącej zapewne jeszcze z czasów króla Wilhelma*.

- Jesteś pewien, że to właściwe miejsce? - spytała. - Te ponure ruiny w niczym nie przypominają zamku, o którym pisał mi

ojciec.

- Ale kapitan powiedział, że to tutaj.

Anne pojęła jego słowa z trudnością, może dlatego, że po raz pierwszy słuchała człowieka nie posiadającego ani jednego zęba.

Miała wrażenie, jakby przemawiał do niej w jakimś obcym języku.

Łódź natrafiła na dno. Otarła się o skały i zatrzymała się.

Marynarz wyskoczył z niej rączo, chwycił torby lady Anne i wyniósł je na brzeg.

Potem równie rączo wskoczył z powrotem do łodzi i spojrzał na Anne tak, jakby ona z rozmysłem opóźniała chwilę, w której on mógłby odbić już od brzegu i wrócić na statek.

Lady Anne zamknęła parasolkę i dostojnie powstała ze swojego

miejsca.

- Nie znajduję upodobania w fakcie, że będę niesiona na brzeg przez cuchnącego nicponia - oświadczyła i uniósłszy spódnicę na przyzwoitą wysokość, odważnie opuściła łódź. Woda sięgała jej do ud, a nicpoń spojrzał na nią lubieżnie. Czyli miarka się przebrała. Zamachnęła się i zdzieliła go parasolką po głowie, dodając zjadliwie: - Przestań się tak na mnie gapić, bo nie dość, że nie masz zębów, to stracisz jeszcze te swoje przekłete oczy! Natychmiast wracaj na statek!

Nicpoń pojął rozkaz i kiedy zaczął wiosłować w kierunku statku, zakotwiczonego w pewnej odległości od brzegu, odwróciła się od niego plecami i skupiła się teraz całkowicie na pokonaniu ostatnich metrów, dzielących ją od lądu. Nie było to łatwe, zwłaszcza wtedy, kiedy ma się na sobie suknię, halki i płaszcz. Udało jej się jednak tam dotrzeć i gdy tylko postawiła stopę na suchym' piasku, rozejrzała się bacznie dookoła z rozpaczliwą nadzieją w sercu, że ruiny zamczyska nie okażą się jej nowym domem. Tym niemniej ta ponura budowla była jedynym miejscem w pobliżu, gdzie mogły znajdować się jakieś ludzkie istoty, a te były jej teraz niezbędne, jeśli chciała się wywieźć, gdzie znajduje się zamek Ravenscrag. Dlatego też postanowiła tam się udać, pozostawiając swój bagaż na brzegu.

Jak zdecydowała, tak uczyniła. Szła przed siebie z pochyloną

głową, zasluchana w cichy chrzęst piasku pod stopami, gdy nagle do jej uszu dotarły jeszcze inne dźwięki. Tętent kopyt. Podniosła oczy i dojrzała jeźdźca. Wysokiego mężczyznę na roslym kasztanie. Włosy jeźdźca były długie i tak samo czarne jak peleryna, spływająca z jego ramion.

Zrównał się z nią, zatrzymał konia, ale nie zsiadł. Tkwił dalej w siodle, spoglądając na nią z góry. Nie, on nie spoglądał. On wbił w nią niebieski, twardy i najbardziej przenikliwy wzrok, jaki zdarzyło jej się doświadczyć na sobie. Poza tym był mężczyzną bardzo przystojnym i wzbudzającym respekt. Żaden gamoń, którego w razie potrzeby można zdzielić parasolką. O, nie. Ten mężczyzna wyrwałby jej parasolkę z rąk i złamał o kolano. Na

pewno.

- Do diabła! A ty co tu robisz, kobieto? To moja ziemia!

Głos miał tak surowy, że odruchowo cofnęła się o krok. Dalej nie była w stanie się oddalić, mimo gwałtownej chęci. Paralizujący strach trzymał ją w miejscu' i umożliwił wydobyć z siebie tylko czegoś, co przypominało bezradne popiskiwanie.

- Pro ... proszę o wybaczenie.

Osloniła ręką oczy i spojrzała w górę. Dalej świdrował ją swoim przenikliwym spojrzeniem, była prawie pewna, że zauważył brak jednego guziczka przy jej pantalonach. To spojrzenie, od którego czuła ciarki na plecach, uświadamiało jej boleśnie, że ma do czynienia z mężczyzną bardzo jej nie przychylnym. A jeśli ów mężczyzna jest teraz nadzwyczaj świadomy, że ma do czynienia z samotną, bezbronną kobietą, los lady Anne jest przesądzony.

Wiadomo przecież, co może przytrafić się kobiecie w tak

odludnym miejscu.

Umysł lady Anne, choć zatrwożony, szybko opracował strategię.

Ów groźny mężczyzna uważa ją za intruza, poza tym za osobę niższego stanu. I niech tak będzie, lady Anne wcale nie zamierza wyprowadzać go z błędu. Będzie udawać prostą dziewczynę.

Mało tego, że prostą. Także przyglupią.

- Racz wybaczyć, panie, ale kapitan statku był pijany w sztok i wysadził mnie tu przez pomyłkę. - T u uczyniła maleńką przerwę, żeby głośno nabrać powietrza, w sposób oczywiście odpowiednio drżący. - A gdzie ... gdzie ja w ogóle jestem?

- Dokąd miałaś zamiar się udać?

- Do mojej matki. Ona jest wdową. T o znaczy nie ma męża w chwili obecnej. Wiesz, panie, kto to wdowa. Kobieta, która kiedyś wzięła sobie męża, ale ten mąż zmarł i dlatego ona została wdową.

Wydawało jej się, że odgrywa tę rolę umiejętnie, dopóki jeździec ponownie nie przewiercił jej swoim lodowatym spojrzeniem, które całe jej wnętrze zmieniło w rozdygotany kłębek.

- Mo ... moja matka, panie, oprócz mnie nie ma już nikogo.

Nikogusieńko!

- Jakże niefortunnie!

Uśmiechnęła się nieśmiało i opuściwszy skromnie głowę, wykonała coś, co świadomie nie było zręcznym dygnięciem.

- Dziękuję, panie.

Zauważyła, że nagle ścisnął mocniej wodze.

- Jesteś ... Angielką!

T en człowiek naj prawdopodobniej nienawidził wszystkiego, co angielskie, łącznie z samym słowem "Angielka", które dosłownie z siebie wypluł.

- Nie, panie. Ale po śmierci ojca moja matka wysłała mnie do ciotki, do Anglii. I tam zapomniałam szkockiej wymowy.

- A gdzie mieszka ta nieszczęsna kobieta, twoja matka?

•
- W ubogiej chacie krytej strzechą. Niewielkiej, ledwie starczy miejsca dla dwóch osób. Ogródek też jest maleńki, matka ma tylko jedną krowę, trzy kury ...

- Wystarczy!

Niebieskie oczy zapłonęły gniewem. Nachylił się i nagle wsunął rączkę pejcza pod jej brodę, zmuszając, aby uniosła twarz.

- Ostrzegam! Ze mną żadnych sztuczek! Nie jestem żółtodziobem z jabłkiem Adama większym niż mózg. I łatwo wpadam w gniew!

Pytam, gdzie mieszka twoja matka. Chodzi mi o miejsce, a nie o dobytek! Odpowiadaj!

- Ja .. ja ...

Tym razem z jej gardła wydobył się cichy skrzek, bowiem przerażenie wyszło z niego całą wilgoć. Ale zdawała sobie sprawę, że odpowiedzieć musi.

- Ja ... ja dokładnie nie wiem, gdzie to jest. Matka napisała tylko, że mieszka w pobliżu zamku.

- Jakiego zamku?

- Miałam zapisane na kartce, ale nie mam tej kartki, kapitan mi jej nie oddał. Ojej! I co ja teraz, biedna, zrobię?

- Spróbuj sobie przypomnieć.

- Ale ja naprawdę nie pamiętam. Tam na pewno było coś o ptakach. Coś jak zagroda wróbli ... nie, raczej pola strzyżkowe.

Nie, też nie ...

- Ravenscrag* - wysyczał przez zaciśnięte zęby i zabrał pejcz. -

Zamek Ravenscrag.

- Ravenscrag ... Naturalnie! Ale ze mnie głuptas! Ty znasz ten zamek, panie?

- Znam. Bardzo dobrze. To przeklęte miejsce, gdzie wydarzyła się wielka tragedia. Teraz żyje tam pewien człowiek, którego ludzie uważają za bestię. W nocy ponoć zmienia się w wilka. Jesteś pewna, że chcesz tam się udać?

- A ten człowiek, ta bestia, naprawdę jest taka groźna?

- Tak. Ten, kto udaje się do jego zamku, nigdy stamtąd już nie wraca. -

- Ale ja przecież nie idę do zamku. Ominę go i pójdę prosto do chaty mojej matki. Czy to daleko stąd?

- Nie. Ale zamek ten stoi na innej wyspie, za zatoką.

- Aha ... A ja teraz też jestem na wyspie? Bo ja właśnie miałam przyплыć na wyspę. Mówili, że nazywa się Szetland.

- Szetlandy to kilka wysp. Ta, której szukasz, jest dalej, za zatoką.

Ale na tamtej wyspie nie ma żadnej wioski.

- Czyli chcesz, panie, mi powiedzieć, że zostałam wysadzona nie na tej wyspie, co trzeba? Ja, moje rzeczy i parasolka? Ojej! Jak ja się tam teraz dostanę, na tę drugą wyspę? Pływam nie za dobrze ... I co z moim bagażem?

- Skłonny jestem ci pomóc. Znajdę kogoś, kto ciebie tam

zawiezie.

- Nie chciałabym nikogo obarczać moją skromną osobą, panie.

- Już to zrobiłaś. A ja chcę pozbyć się ciebie stąd jak najrychlej.

Nie lubię, jak po mojej wyspie kręcą się obcy i węszą.

- A dlaczego niby mam węszyć?

- Chociażby dlatego, że jesteś kobietą. Kobiety zawsze węszą.

- Jestem inna niż większość kobiet.

- Po raz pierwszy powiedziałaś coś, co zabrzmiało w miarę

mądrze.

I znów cienka powłoczka cierpliwości, osłaniająca żywiołową

naturę lady Anne, pękła.

- Więc powiem jeszcze coś, panie! - rzuciła ostro, w jednym

momencie zapominając o roli zalęknionej głuptaski. - Coś, co na

pewno zabrzmie również w miarę mądrze! Skoro jestem dla ciebie

tak wielkim utrapieniem, postaram się tę wyspę opuścić jak

najszybciej. Nawet jeśli rzeczywiście będę musiała uczynić to

wpław. Moje rzeczy zostawię na brzegu, przyślę po nie kogoś.

Zegnam!

Otworzyła parasolkę, bardzo energicznie i z łopotem, uniosła ją

wysoko ponad głowę i pomaszerowała przed siebie po piachu

usłanym kamieniami. Starła się kroczyć z największą godnością,

na jaką było ją stać. Nie uszła jednak daleko. Bo znów usłyszała

tętent kopyt. Chwilę potem silne ramię zgarnęło ją i nagle

znalazła się w powietrzu, wpatrzona w ziemię, umykającą spod kopyt galopującego konia i dręczona ponadto niepewnością. Czy boi się bardziej, że nieznajomy mężczyzna uwiezie ją ze sobą, czy tego, że ciśnie nią teraz o ziemię.

, - Masz zamiar mnie zabić, panie?

- Taka myśl przemknęła mi przez głowę.

Dlatego zachowaj spokój, bo myśl ta może powrócić!

Szaleńcza jazda nie trwała długo. Mężczyzna wstrzymał konia i postawił ją na ziemi, równie gwałtownie, jak ją na tego konia porwał. Kiedy odzyskała równowagę, zorientowała się, że stoi przed zrujnowanym zamkiem, a od bramy zamkowej jakichś dwóch mężczyzn spogląda na nią z wielką ciekawością.

- Ten bagaż, co tu przywiozłem, zostawił swój bagaż na brzegu! - zawołał do nich jeździec.

Czyżby ten groźny mężczyzna silił się na żart, nazywając ją bagażem? Jeśli tak, to ma bardzo dziwne poczucie humoru, pomyślała lady Anne. - Idźcie po jej rzeczy, a potem przewieźcie tę kobietę przez zatokę - rozkazał. - Ona mieszka gdzieś w pobliżu Ravenscrag.

Obaj mężczyźni, zgodnie z poleceniem, ruszyli na brzeg. A czarnowłosy jeździec zwrócił się do lady Anne.

- Pytam się ciebie jeszcze raz. Po co tu przyjechałaś?

- Owiłam ci już, panie. Przyjechałam z Anglii...

- Ze by tu węszyć?

- **Ja?! Ależ, panie! Czyja wyglądam jak szpieg?**
- **Może i nie. Ale na pewno jesteś wścibska. Wyczuwam w tobie tego rodzaju umysłowość.**
- **Nie jestem żadnym szpiegiem. Przysięgam.**
- **Lepiej, żeby tak było. Wobec kłamców jestem bezlitosny. Jeśli skłamałaś, rozprawię się z tobą. Ostrzegam. Nie jestem człowiekiem miłym i łagodnym.**

Przelknęła głośno.

- **O, w to nie wątpię, panie!**

- **I bardzo dobrze!**

ROZDZIAŁ DRUGI

Zapadła noc. Marta, nowa dziewczyna najęta na służbę, weszła do sali zamkowej i rzuciwszy trwożliwe spojrzenie na pana zamku, rozpartego w rzeźbionym krześle u szczytu stołu, podeszła do ochmistrzyni, Grizel.

- Jak myślicie, pani ochmistrzyni - spytała półgłosem - czy dziś wieczorem te diabły znów do niego przyjdą?

- Nie muszą przychodzić, moja droga. One siedzą w nim w środku zawsze, a nocą on pozwala im wyjść.

Marta rozejrzała się bojaźliwie dookoła i nagle zadrżała.

- Jak tu zimno ...

- Tak. Ale najzimniejszy jest wicher pamięci, który wieje od grobów.

- Macie na myśli groby jego żony i synka?

- Także groby całego klanu. Przecież tylko on przeżył. Został sam, teraz żyje w mroku swej duszy, gdzie ból i udręka.

- Jest taki smutny ... Pani ochmistrzyni, a wy słyszeliście kiedyś, żeby on się śmiał?

- Po tej tragedii nie zaśmiał się ani razu. Ale przedtem ...

Przedtem od jego radosnego śmiechu drżały mury zamku

Ravenscrag.

- Ravenscrag? A ja myślałam, że on zawsze mieszkał w Czarnym Zamku!

- Nie. Zamieszkał tu, kiedy Anglicy zajęli Ravenscrag.

- Anglicy ... Tfu! - Marta splunęła na podłogę. - Niech dosięgnie ich wszystkich klątwa Cromwella!*

- On bardzo cierpi. Wszystko, co było najdroższe jego sercu, zostało mu odebrane.

- Och, Boże ...

Po rumianych policzkach dziewczyny spłynęły dwa strumyczki łez.

- Nie oplakuj tych, co odeszli ,dziewczyno - powiedziała miękko ochmistrzyni i pogłaskała Martę po ramieniu. - Oni spoczywają w

pokoju.

Marta, ocierając łzy rąbkiem fartucha, głośno siąknęła nosem.

- Ja ... ja płaczę, bo mi lorda bardzo żal!

- A na to nie starczy ci łez, dziewczyno. Jego rozpacz jest zbyt

wielka.

Grizel wzięła jedną ze świec i podała ją Marcie.

- Wracaj do swojej izdebki. Połóż się i odpocznij.

*** Przekleństwo irlandzkie, które narodziło się po wyjątkowo okrutnym stłumieniu powstania irlandzkiego przez wojska angielskie pod dowództwem Cromwella (1650 r.).**

Z czasem, tak jak my wszyscy tutaj, nauczysz się żyć z tą jego nieustanną udręką. A teraz już idź. Ja pogaszę świecę. Nasz pan sobie tego życzy. Siedzi potem w mroku i oddaje się swojej

rozpaczy.

Marta trwożliwie zerknęła na lorda.

- Pani ochmistrzyni, pozwolicie, że poczekam na was? .

- Dobrze, dobrze. W takim razie chodź, pomożesz mi...

Przeszły obie przez salę, gasząc jedną świecę po drugiej, i cicho wymknęły się na korytarz, zostawiając pana Czarnego Zamku w mroku i samotności.

Siedział przygarbiony, wpatrując się z natężeniem w puchar napelniony winem, póki na ciemnoczerwonej połyskliwej powierzchni nie zaczął mu się jawić znajomy obraz. Zona i syn.

Ailis, z warkoczami jasnymi jak len, trzyma za rękę Colina. Oboje radośni, roześmiani, jak kiedyś. Bardzo dawno, bo Ailis na zawsze już pozostanie cicha i zimna. Śpi snem wiecznym, tak samo jak Colin w swoim grobku, tak małym jak jego łóżeczko.

Zaklął straszliwie. Złapał kryształową karafkę z winem i cisnął nią o posadzkę. Brzęk tłuczonego szkła przytłumił jego krzyk.

Długi, bardziej żaloszny niż wycie wilka, odbijający się echem w długich korytarzach, pustych sieniach i przedsionkach starego

zamku.

Ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę siedział nieruchomo, potem nagle wstał. Ciężkie nogi krzesła głośno zaszurały po nierównej, kamiennej posadzce. Podniósł puchar do ust, wysączył ostatnie krople, które miały dać zapomnienie i cisnął pucharem o stół.

Puchar przetoczył się do krawędzi stołu i spadł, uderzając głucho o posadzkę.

Manus Finlay, ukryty w ciemnym kącie koło drzwi, ani drgnął.

Tylko patrzył. Jak zawsze. Był przyjacielem Macqueena i wiernym jego druhem od pięciu lat, od tej chwili, kiedy znalazł go ранnego na przesiąkniętym krwią wrzosowisku Culloden Moor.

Macqueen podszedł do drzwi. Kiedy mijał Manusa, ten zdjął z kolka

czarną

opończę.

Lord,

spojrzawszy

na

niego

nieprzytomnym wzrokiem, machinalnie odebrał okrycie, zarzucił na ramiona i ruszył przed siebie długim zamkowym korytarzem.

Manus podążał za nim jak cień.

Lady Anne Crofton zabrała ze sobą do łóżka kubek z gorącym

mlekiem. Niestety, mleko nic nie pomogło. I tak nie mogła

zasnąć. Leżała w półmroku, zapatrzona w upiorne cienie, tań-

czące bezszelestnie po ścianach jej komnaty. Cienie, które

przypominały wszystkie opowieści o przeklętej wyspie po drugiej

stronie zatoki. Na pewno nie zaprzętałyby sobie nimi swojej

trzeźwej głowy, gdyby nie dwa fakty. Po pierwsze, jej rodzony

ojciec był w to w jakiś sposób zamieszany, a po drugie, ona nie

mogła zapomnieć o swojej krótkiej, ale pełnej strachu wizycie na

tamtej właśnie wyspie. Przede wszystkim z powodu owego

wysokiego mężczyzny o przenikliwym spojrzeniu i gniewnej

twarzą, który pierwszy opowiedział jej o bestii. Ale kiedy

popytała wśród ludzi, dowiedziała się, że bestia wcale nie miesz-

ka w zamku Ravenscrag, lecz właśnie tam, w starym zamczysku

popadającym w ruinę. Czyżby dlatego mężczyzna chciał, aby

opuściła tamtą wyspę jak najprędzej? I był taki podejrzliwy,

groził jej ...

Anne zadrżała. Miała powód, żeby się bać. Przecież go okłamała!

Ale ... ale kłamała nie tylko ona. Podejrzewała, że jej ojciec, kiedy

go pytała o powód wrogości między nim a tą na wpół obłąkaną istotą z tamtej wyspy, wcale nie był wobec niej szczery. Tłumaczył coś mętnie i tak naprawdę niczego nie wyjaśnił. A lady Anne, istota samodzielna i formułująca swoje własne sądy, wcale nie uważała, że ma obowiązek darzyć swego ojca bezgranicznym zaufaniem. Tylko dlatego, że jest jej ojcem. Tym bardziej że prawie go nie знаła, była przecież małym dzieckiem, gdy matka opuściła ojca i wyjechała z córeczką do swej rodziny, do Kornwalii. Anne ujrzała ojca ponownie dopiero teraz, po wielu latach, kiedy kilka tygodni temu, po śmierci matki, przybyła na

Szetlandy.

Teraz ojca nie ma, popłynął do Anglii. Wróci nie prędko, nie prędko więc będzie następna okazja do rozmowy. Ale może w tym czasie ktoś inny wyjawি prawdę Annie, powie jej, co wydarzyło się kiedyś między jej ojcem a tą istotą, która żyje w ponurych

ruinach Czarnego Zamku.

Czarny Zamek. Dlaczego już sama nazwa jest tak intrygująca?

Wstała z łóżka, odrzuciła w tył swoje długie czarne włosy i podeszła do okna. Odsunęła kotarę. W dali, w mroku, po drugiej stronie zatoki, majaczyła ciemna plama wyspy. Prawie niewidoczna. W górze, wśród ciemnych chmur, pędzonych przez wiatr, unosił się księżyc ...

Nagle zadrżała, czując przejmujący chłód. Jakby ktoś otworzył drzwi i do pokoju wtargnął lodowaty podmuch wiatru. Uszy wyłowiły dziwne dźwięki, czyjś głos daleki, czyjaś błagalną prośbę.

Anne, chodź ... Wyjdź w ciemność ... Przyjdź do mnie, podziel się swoim ciepłem, swoją duszą ..

Cofnęła się szybko i skarciła w duchu. Przecież to tylko wiatr!

Zawodzi upiornie, chłoszcząc blanki zamku Ravenscrag. A lady'

Anne stanowczo za dużo nasłuchiwała się opowieści o duchach!

Czuła lęk, ale ten lęk, niestety, wzbudzał ciekawość jeszcze większą. Znów podeszła do okna i przycisnęła twarz do szyby.

Ta bestia ... ona gdzieś tam jest... czy to prawda, co ludzie z wioski o niej rozpowiadają? Mówią, że to człowiek obłąkany.

Chodzi nocą po zamkowych murach, krzyczy i zawodzi, a wiatr rozwiewa mu długie, czarne włosy. Ponoć zwabia do siebie młode kobiety,

które

czeka

śmierć

wśród

zdradliwych

skal

przybrzeżnych ... Prawda to, czy nie? Najlepiej przekonać się o

tym na własne oczy, czyli jeszcze raz popłynąć na tę przeklętą

wyspę

...

Natych

miast zadźwięczały jej w uszach słowa matki:

- Bóg stworzył piekło dla tych, co są zbyt dociekliwi.

Niestety, lady Anne znana była ze swej niepohamowanej ciekawości. Dlatego jeszcze długą chwilę spędziła przy oknie, póki nie usłyszała, że ktoś otwiera drzwi. Szybko zasunęła kotarę i odwróciła się od okna, choć wiedziała, że to tylko Fanny, jej pokojówka.

- Milady leżała już w łóżku? A okno było otwarte! Teraz, kiedy wieje taki wicher? Dlaczego ta pościel tak skotłowana?

- Nie mogłam zasnąć.

- Nigdy bym na to nie wpadła!

Spojrzały po sobie i obie wybuchnęły śmiechem.. Anne pomyślała, że rzeczywiście śmiech to balsam dla duszy.

- Wyglądzę pościel i będzie spało się lepiej - powiedziała Fanny, podchodząc do łóżka.

- A milady wypatrywała tego diabła?

Anne zerknęła na okno, zadowolona, że zasunęła kotarę. Wcale nie miała ochoty po raz drugi spoglądać przez mrok na to okropne miejsce; które tajemnicza bestia obrała sobie za swój

d

om.

- Fanny, ty wierzysz w to, co mówią o nim ludzie z wioski?

- Oczywiście, milady.

- A co dokładnie o nim słyszałaś?

Fanny najpierw zawzięcie wzbila poduszkę.

- Słyszałam okropne historie, milady. Ludzie gadają, że on składa ofiary z dziewczec, potem pije ich krew. I to właśnie ta krew miesza mu w głowie. Krew dziewczec.

Anne zaśmiała się.

- Och,. Fanny! I ty w to wierzysz? Fanny wyglądała na nieco zawstydzoną. - Ja ... ja sama nie wiem, milady ..

- A czy ty kiedykolwiek go widziałaś?

Teraz Fanny wyglądała na przerażoną.

- Ja?! A broń Boże! I wcale tego nie pragnę! Ludzie mówią, że na nim ciąży klątwa. Milady pojmuje. On ma podobno diabła w

oczach.

- A ja sędzę, Fanny, że to po prostu człowiek bardzo nieszczęśliwy i należy mu współczuć, a nie bać się go. .

- Nie wierzę, milady. W całej wiosce nie znajdzie milady nikogo, kto by się go nie bał i tej jego diabelskiej kryjówki. Stamtąd nikt już nie wraca!

. - Nikt? A wyobraź sobie, że kiedy przyplłynęłam na Szetlandy, zawieźli mnie łódką właśnie na tamtą wyspę. Kapitan statku, skończony głupiec, pomylił się. Ale, jak widzisz, nic mi się nie stało.

- I chwała Panu Bogu! Przecież ta bestia mogła rzucić klątwę na milady! Ale na szczęście ... Chociaż ... - Fanny spojrzała nagle na Anne podejrzliwie. - Milady wydaje się być jakby zauroczona tą bestią i jej przeklętym zamkiem. Och, milady ...

- Przestań, Fanny! Nikt mnie nie zauroczył. Ja po prostu z natury jestem ciekawska. I dałabym wiele, żeby dowiedzieć się, co złego wydarzyło się między moim ojcem a tą bestią. Słyszałaś może coś o tym?

- Wiem tylko, milady, że temu człowiekowi Anglicy zabili żonę i dziecko. Synka, miał trzy latka. Pochowani są tutaj, w

Ravenscrag.

- Straszne! I to ... zdarzyło się tutaj?

- Tak, tutaj. Kto wie, może i w tej komnacie ... Czy milady życzy sobie coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. Zabierz tylko ze sobą ten kubek.

Fanny przykucnęła, co miało być czymś w rodzaju dygnięcia, chwyciła kubek i pomknęła ku drzwiom. Ale w progu przystanęła na chwilę.

- Dobrej nocy życzę milady. I niech milady niczego się nie boi. On tu nigdy nie przyjdzie. Ludzie mówią, że jego serce pochowane jest na tamtej wyspie i dopóki on go nie odnajdzie, nie wolno mu się stamtąd ruszać ...

- Dobrej nocy, Fanny. Jestem pewna, że teraz będę spać bardzo dobrze!

Kiedy Fanny zamknęła drzwi, Anne wróciła do łóżka, mamrocząc gniewnie pod nosem:

- Ale się nagadała, ale nagadała ... Ciekawe, czy teraz to w ogóle zasnę!

ROZDZIAŁ TRZECI

Macqueen przystanął na zamkowych murach. Jego wzrok przemknął ponad pomarszczoną taflą czarnej wody ku nie równym, poszarpanym brzegom wyspy za zatoką, ku nikłym światełkom w oknach zamku Ravenscrag. Gniazda rodowego

Macqueenów, domu Roberta Macqueena do chwili, gdy wszystko, co kochał, nie zostało mu odebrane przez Anglików.

Zabolało, jak za każdym razem, kiedy wracały wspomnienia.

Zabolało straszliwie, dlatego odrzucił głowę w tył i wydał z siebie

długi jęk, pełen żalości. Porywisty wiatr zerwał wstążkę, którą

przewiązane miał włosy. Szarpał włosami, oponczą, na twarzy

czuł ciężkie krople marznącego deszczu. Gęste chmury zasłoniły

księżyc, cały świat spowiła ciemność. Światło pochodni,

powtykanych w zamkowe mury, nie przenikało już przez

atramentową czerń. W dole gniewne morze biło zaciekle o

skalisty brzeg, wysyłając w górę lodowate fontanny. Burzyło się,

targane sztormem. Tak silnym, jak się tego Macqueen

spodziewał. Tego ranka rwący ból w starych ranach obudził go

bardzo wcześnie, jeszcze zanim szary świt rozjaśnił mrok

komnaty. Teraz bolało jeszcze bardziej, ale dla niego i tak to było

za mało. Bo tylko wtedy, kiedy ból był prawie nie do zniesienia,

wierzył, że nigdy nie zapomni.

Światelka w oknach zamku Ravenscrag gasły, jedno za drugim.

Nagle

oślepiające

światło

błyskawicy

przecięło

niebo.

Zagrzmiało. Skały zadrżały od potężnego huku, a chwilę potem z prawej strony, koło drzwi w wieżyczce, zamigotało światelko.

- Powiało nieźle, panie! - zawołał Manus. Jego głos ledwo było słycać przez wicher i huk fal. - Nie wejdiesz do środka?

Macqueen nie odwrócił głowy. Stał dalej nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach, z twarzą wystawioną na wiatr.

- Wracaj, Manusie, do środka. Ja ...

Nagle zamilkł. W pierwszej chwili pomyślał, że to złudzenie. Ten błysk wśród czarnych, rozszalałych fal. Pojawił się i znikł. Ale teraz znów zamigotało.

Światelko. Jakiś statek miotany jest przez fale ...

Nie zauważył, kiedy u jego boku nagle pojawił się Manus.

Podniósł wysoko latarnię, oświetlając twarz Macqueena.

- Wyglądasz, panie, jakbyś zobaczył ducha.

- Nie ducha, a statek. Spójrz tam! Rzuca nim na wszystkie strony.

Rozbije się o skały. Zwołaj ludzi, Manusie!

- Tak) ale ... ale ty wiesz, panie, co ludzie będą gadać. Ze statek rozbił się przez ciebie, przez twoje klątwy. Będziesz narażał swoje życie, a oni i tak będą na ciebie pomstować. Panie ...

Ale czarna opończa znikła już za drzwiami. Słycać było, jak lord zbiega po schodach. Manusowi nie pozostawało nic innego, jak zrobić to, co czynił od pięciu lat. Podążyć za Robertem Mac-

queenem.

Robert Macqueen i jego ludzie, walcząc z potężnymi falami, przeszukali dokładnie skały i wrak statku. Docierali do każdego ciała, niestety tylko po to, aby przekonać się, że życie, które mieli nadzieję ocalić, z tego ciała już uszło. I kiedy Macqueen zamierzał nawoływać wszystkich do powrotu na zamek, Gavin McDougal, podniósłszy wyżej swoją latarnię, zaczął nagle iść przed siebie przez wodę .

- Tam chyba ktoś jeszcze jest! Uczepił się tego dryfującego drzewca!

Macqueen go wyprzedził. Wszedł na głęboką wodę. Co chwilę potężna fala znosiła go w tył, on jednak niezmiernie dzielnie parł do przodu i pokonując cal po calu, dotarł do przyklejonego do kawałka drewna mężczyzny. Otoczył go ramieniem, i teraz objuczony ciężarem, stoczył drugą, zwycięską walkę z falami. Wyciągnął mężczyznę na brzeg i złożył na piasku.

- Gavinie! Podejdź tu z latarnią!

Gavin pośpieszył do niego, pytając z niepokojem: - Nie żyje?

- Nie wiem. Podnieś latarnię jeszcze wyżej.

Mały krąg światła latarni ozłocił nieruchomą twarz mężczyzny.

Twarz znaną. Twarz nienawistną. Si~ Johna Croftona.

- Żyje? - spytał Manus, stając u boku Macqueena.

Robert nie odzywał się przez chwilę, nie odrywając wzroku od

twarzy, która jawiła mu się jak twarz samego diabła.

- Chyba nie.

Manus spojrzal na nieprzytomnego mężczyznę uważniej.

- Na Boga! Przecież to sir John! Ten łotr, ten morderca! Nie żyje.

To dobrze. Nie musiałeś sobie plamić rąk jego krwią!

- Co chcesz uczynić z jego ciałem, panie? - spytał Gavin. -

Zostawimy go tu sępom na pożarcie?

- Nie. Zanieście go do zamku. Chcę wywiesić jego czarne serce na wieży.

Gavin postawił latarnię na ziemi. Napiął potężne mięśnie i przerzucił sobie przez ramię kościste ciało topielca. I w tym momencie Anglik ożył. Zaczął kasłać, z jego ust wypłynęła strużka wody.

Gavin drgnął i spojrzal na Manusa. Manus spojrzal na

Macqueena.

- On żyje - odezwał się Manus pełnym niedowierzania głosem. - I

co teraz z nim zrobimy?

- T o, co powiedziałem. Zanieście go do zamku - powiedział

Robert.

- Każesz wtrącić go do lochu?

**- Najpierw każę otoczyć go naj troskliwszą opieką, żeby
wyzdrowiał jak najszybciej.**

- A potem?

**Na ustach Macqueena zwolna pojawił się grymas, który mógł od
biedy przypominać uśmiech.**

- A potem lotra zabiję.

**Następnego dnia po drugiej stronie zatoki lady Anne Crofton
siedziała pochylona nad swoim tamborkiem. Nie była jednak
zajęta haftowaniem, lecz z pobladłą twarzą i oczyma pełnymi łez
słuchała tego, co przekazywał kapitan Singleton.**

- Jednego ciała brakuje. Ojca milady. Prawdopodobnie zabrało je

morze. .

Łzy przesłaniały Anne widok wspaniałego munduru kapitana, ozdobionego błyszczącymi medalami, którymi odznaczano tylko najdzielniejszych angielskich żołnierzy. Słowa docierały. Statek, którym płynął jej ojciec, zatonął. Ojciec nie żyje. Straciła matkę, a teraz straciła ojca. Nie zdążyła go nawet lepiej poznać.

- Gdzie ... gdzie rozbil się statek?

- Niedaleko stąd. Podczas sztormu "Albatros" zboczył z kursu i wpadł na przybrzeżne skały. Koło wyspy, na której stoi Czarny Zamek. Rozbił się dosłownie u podnóża zamku. Tam wyciągnięto z wody martwe ciała.

- Mojego ojca nie było wśród nich? Kapitan Singleton opuścił głowę.

- Bardzo mi przykro, milady. Naj pewniej zabrało go morze.

- Jest jedynym pasażerem, którego ciała nie odnaleziono?

- T ak, milady.

Anne milczała przez chwilę. Potem odłożyła na bok swoją robótkę i wstała.

- Kapitanie, czy zechciałbyś być tak uprzejmy i zawieźć mnie do miejsca, gdzie rozbil się statek? - Ależ milady! Dama nie powinna jeździć do tak niebezpiecznego miejsca! Trudno tam dopłynąć, zwłaszcza małą łódką.

- Nie boję się pływać małą łódką. W Anglii często wypływałam

łódką sama.

- Dno morskie jest tu bardzo zdradliwe, milady. Mnóstwo tu

po

dwodnych skał i głazów.

- Ale ja bardzo chciałabym zobaczyć to miejsce. Skoro nie chcesz

mi t

owarzyszyć, kapitanie, popłynę tam sama.

Twarz kapitana Singletona spurpurowiała. Było oczywiste, że nie jest zachwycony jej prośbą. Ale wyprężył się jak rasowy żołnierz i

st

uknął obcasami.

- Jako angielski dżentelmen i oficer nie mogę pozwolić, abyś podróżowała, pani, samotnie. Naturalnie, że będę ci towarzyszył.

Kiedy chcesz wyruszyć w drogę?

- Zaraz.

Tym razem twarz kapitana Singletona straciła wszelkie kolory oprócz białego. Bujny wąs jakby obwisł.

_ "Zaraz?" wykrztusił. - Chcesz pani płynąć tam zaraz?

Anne skinęła potakująco głową.

_ "Jeśli jesteś gotowy wyświadczyć mi tę przysługę, panie ...

_ "Jak sobie życzysz, pani - odparł uprzejmie, ale tym razem nie stuknął obcasami.

Lady Anne natychmiast ruszyła ku drzwiom.

_ "Będę gotowa dosłownie za chwilę, kapitanie. Przebiorę się i spotkamy się przy łódce.

Macqueen, odmierzając niecierpliwe kroki przed ogromnym kominkiem w swojej bibliotece, czekał na pojawienie się doktora Burrisa, badającego teraz tego angielskiego łotra. Ordercę. A za ledwie godzinę temu Macqueen wrócił z kaplicy, gdzie padł na kolana, żeby gorąco podziękować Bogu za pozostawienie sir Johna Croftona przy życiu. I nie czuł najmniej szych wyrzutów sumienia, zanosząc równie gorącą prośbę o jak naj szybszy

powrót do zdrowia owego człowieka, żeby on, ostatni lord z rodu Macqueenów, mógł jak najszybciej odebrać mu życie. Bo i niby z jakiego powodu miał sobie cokolwiek wyrzucać?

Zaklął. Przystanął przed kominkiem i oparł obie ręce na marmurowym gzymsie. Spojrzał na płomienie, ale przed oczyma stanęła mu twarz zmarłej żony. Zobaczył Ailis taką, jaką widział po raz ostatni. Stała na murach zamku Ravenscrag, z małym Colinem na ręku. Oboje machali mu na pożegnanie, kiedy wyruszał do walki z Brytyjczykami, wiodąc za sobą potężny klan Macqueenów. Na spotkanie ze śmiercią.

Korytarzem zamkowym przechodziły Grizel i Marta, każda ze stosem świeżo upranej bielizny. Marta zerknęła ciekawie przez otwarte drzwi do biblioteki i zobaczywszy lorda przed kominkiem, przystanąła.

- Taki piękny mężczyzna, pani ochmistrzyni, i tyle w nim smutku.

Dlaczego nikt nie chce mi dokładnie opowiedzieć o tym, co się stało? Każdy, kogo o to pytam, mówi mi, że mam pilnować

swojego nosa.

- I to chyba najlepsza rada.

- Łatwo wam tak mówić, pani ochmistrzyni, skoro wiecie już o

wszystkim.

- Nikt, kto jest lojalny wobec lorda Macqueena, nie lubuje się w opowieściach o jego nieszczęściu. - Ale wszyscy tutaj wiedzą, co się wydarzyło.

Wszyscy, oprócz mnie. Ktoś musi mi w końcu o tym opowiedzieć.

Grizel przez kilka sekund wpatrywała się z zadumą w swój stos bielizny, po czym wydała z siebie westchnienie pełne rezygnacji.

- Widzę po tym błysku w twoich oczach, Marto, że nie spocziesz, póki nie usłyszysz o wszystkim. A więc dobrze. Idź i odzyskaj Manusa Finlaya. On najlepiej zna całą tę straszną historię. I niech on weźmie na swoje barki ciężar wyjawienia jej

tobie.

Marta szybko rzuciła swój stos bielizny na stos trzymany przez Grizel i pobięła, ścigana gniewnymi pomrukami ochmistrzyni, utyskującej, że teraz to ona naprawdę niczego już nie widzi.

Marta znalazła Manusa w zbrojowni, zajętego czyszczeniem strzelby. Wcale nie palił się do opowiadania o nieszczęściu swego pana, ale Marta, podobnie jak wobec Grizel, była nieugięta.

- Mam prawo wiedzieć! - oświadczyła. - Udowodniłam już swoją lojalność, przychodząc tu na służbę. A wiem, że żadna inna dziewczyna z wioski nigdy by się nie najęła do Czarnego Zamku.

Manus ustąpił. Marta przysiadła obok niego na krześle i w skupieniu wysłuchała wszystkiego. O rzezi klanu Macqueenów, o śmierci żony i synka lorda, o klątwie, jaka została na niego

rzucana.

- Więc mówicie, panie Finlay, że oni wszyscy zostali zamordowani? Wszyscy?! Oprócz naszego lorda nikt nie ostał się wśród żywych?

- Nikt. Pozarzynali ich. Cały klan. I nasz lord jest teraz przeklęty.

Bo on ma ciągle przed oczami swoich ludzi, jak Anglicy wycinają

ich w pień, a ich krew miesza się z krwią setek innych klanów,

która na szkarłat zabarwiła wrzosowisko Culloden. Z całego

klanu Macqueenów przeżył tylko on. Choć odniósł okrutne rany.

Kiedy go znalazłem, bałem się, że i tak umrze, bo stracił tyle krwi.

- Ale nie umarł!

- Nie umarł. Chociaż modlił się o śmierć.

Z każdym oddechem, sprawiającym mu wielki ból, przeklinał

Anglików, przeklinał, że sam nie umarł. O ile byłoby mu łatwiej,

gdyby zginął jak reszta Macqueenów, jak wszyscy mężczyźni,

których on sam poprowadził do walki.

- A kiedy znaleźliście go, panie Finlay, zawieźliście go do zamku?

- Nie od razu. Przecież skradała się już do niego pani z kosą.

Dlatego najpierw zawiozłem go do opuszczonej chaty,

opatrzyłem i doglądałem, póki rany się nie zagoiły. A po trzech

miesiącach, kiedy wrócił do sił i mógł dosiąść konia, ruszyliśmy

w drogę do Ravenscrag. Przez cały czas, kiedy tam jechaliśmy,

Macqueen przysięgał, że synowie i córki pomordowanych

Macqueenów pomszczą śmierć ojców. Tak ich wychowa. Dzięki

nim klan się odrodzi, znów będzie wielki i potężny.

- Mówiliście, że wszyscy pomarli, że z całego klanu został tylko

On.

- I to prawda. Od pierwszej chwili, kiedy lord postawił stopę na Szetlandach, miał złe przeczucia. Spodziewał się, że zastanie zamek zburzony, tylko ku pę kamieni.

- Ale tak nie było.

- Nie. Zamek był nietknięty, wielki i wspaniały, jak w dniu, w którym go opuścił. Ale kiedy podjechał bliżej, zobaczył, co robią Brytyjczycy z tymi, których zwą swoimi wrogami.

Marta zadrżała.

- Boże wielki ... Pozabijali ich ...

- Tak. Wszystkich. Aż po naj niższego sługę. Kiedy przechodziliśmy koło grobów, Macqueen padł na kolana obok swego konia i zaczął przeklinać Boga za to, że zapłacić musieli niewinni. Bił się w piersi i krzyczał w naj głębszej rozpacz. A kiedy zobaczył groby swojej żony i synka, myślałem, że mu rozum odjęło.

- Co zrobił?

- Wskoczył na konia i gnał nim jak szalony do bram zamku, modląc się w duchu, aby ktoś go zabił. A z góry, z zamkowych murów dobiegał szyderyczy śmiech. Spojrzał tam i zobaczył gorejący szkarłat kurt żołnierzy angielskich. Wtedy stanął w strzemionach i rozłożył ręce. Ale żaden z szyderców nie wypalił.

- Dlaczego?

- Był rozkaz, aby nie strzelać. Dowodził wtedy angielskimi żołnierzami sir John Crofton. To on wydał ten rozkaz. Widocznie nie chciał, żeby Macqueen połączył się z tymi~ których kochał. Chciał, żeby żył i cierpiał.

- Skazał go na los gorszy niż śmierć - szepnęła Marta.

- Tak. Los gorszy niż śmierć ... No, to teraz już wiesz wszystko.

Westchnął ciężko. Wyglądał na zmęczonego i przybitego, a Marta uzmysłowiła sobie, że to człowiek bardzo już wiekowy.

- Wracaj do roboty, Marto - powiedział, spoglądając na nią smutno szarymi, wyblakłymi oczami. - I więcej z nikim na ten

temat nie rozmawiaj.

- Tak, panie Finlay. Ale powiedzcie mi jeszcze, jak to jest z tą klątwą?

- Człowiek jest przeklęty, jeśli musi pamiętać o tym, co chciałby zapomnieć. Kiedy łaknie śmierci, szuka jej wciąż, a znaleźć nie może.

- Nic dziwnego, że Macqueen tak nienawidzi Anglików.

- Macqueen co noc chodził po murach zamkowych, prosząc Boga, aby pomógł mu dokonać zemsty. I teraz, po pięciu latach, jego prośba została wysłuchana.

RODZIAŁ CZWARTY

Manus wszedł do kuchni, gdzie siedział Robert, przygarbiony nad

talerzem zupy.

- Angielski kapitan węszy przy wraku. Jest z nim jakaś dama.

Robert rzucił łyżkę na stół, wstał i sięgnął po swoją czarną opończę, wiszącą na kołku przy drzwiach. .

- Co to za dama? Przyjrzałeś jej się?

- Stałem za daleko, twarzy nie dojrzałem. Ale to może być córka

sir Johna.

- Jego córka? Nie wiedziałem, że on ma córkę.

- Ma. Matka umarła, dlatego dziewczyna przyjechała do ojca.

W głowie Roberta natychmiast zaświtała myśl, czy nie jest to przypadkiem tamta dziewczyna o kruczoczarnych włosach, która jakiś czas temu zjawiała się na jego wyspie. Wyszła do niego z wody jak jakaś rusalka. Śliczna. Spodobała mu się ...

A jeśli mu się spodobała, to nie może być córką tej angielskiej świni!

- Jak wygląda?

- Bardzo młoda, ale już w wieku, że mogłaby wyjść za męża. A z tego, co słyszałem, jest wystarczająco ładna, żeby zawrócić mężczyźnie w głowie.

- Ładna i gotowa do za męża pójścia. Ale to Angielka, pomiot angielskiego mordercy. Żaden Szkot przy zdrowych zmysłach nie podejdzie do niej bliżej niż na milę! Ciekawe, co ją tu sprowadziło?

- Prawdopodobnie nie może pogodzić się z tym, że jej ojciec zniknął.

- Niech sobie powęszy, i tak niczego nie znajdzie. A nawet gdyby dowiedziała się skądś, że on żyje, to co z tego? On i tak jest w naszych rękach ..

- Może sprowadzić tu Anglików, panie, a ty dobrze wiesz, że w

walce z nimi nie zdołasz zwyciężyć.

- Nie zamierzam z nikim walczyć. Mam już to, czego chciałem. I

nie boję się nikogo i niczego. Więcej zła nie można mi wyrządzić.

- Mogą odebrać ci życie, panie.

Robert, słysząc te słowa, zaśmiał się krótko. Bardzo gorzko.

- Nie można zabić kogoś, kto już jest martwy. Chciał na własne

czy zobaczyć intruzów.

Wszedł na zamkowe mury, smagane wiatrem, i stanął tam, z rozwianym włosiem i w czarnej opończy. Spojrzał w dół, na dwie postacie, angielskiego kapitana i nieznajomą kobietę, kręcących się wśród przybrzeżnych skał. Kobieta była drobna, niewysoka, a kiedy wiatr zerwał jej z głowy kaptur, nawet ?- tej odległości dojrzał, że włosy ma kruczoczarne.

Lady Anne naciągnęła mocno kaptur na głowę, żeby osłonić się przed porywistym wiatrem i szła dalej przed siebie, ostrożnie przestępując przez połamane deski i kawałki lin. Tylko to zostało z roztrzaskanego statku. Nietrudno było pojąć, dlaczego wszyscy na "Albatrosie" stracili życie. Ale dlaczego nie odnaleziono ciała jej ojca? Anne zastanawiała się nad tym cały czas, póki do głowy nie przyszła jej myśl, że na pewno ma z tym coś wspólnego bestia

z Czarnego Zamku.

- Gdzie znaleziono ciała? - spytał kapitan, postępującego tuż za nią.

- Dokładnie nie wiadomo. Ludzie Macqueena pierwsi dotarli do rozbitego statku. Mogli poprzemnieść te ciała. W każdym razie leżały na brzegu albo w płytkiej wodzie.

- Wszyscy oprócz mojego ojca.

- Tak. ..

Kapitan Singleton spojrział w niebo.

- Niebawem zacznie się ściemniać, a ty, pani, jesteś zziębnięta.

Powinniśmy już wracać.

- Tak, chyba pora już wracać... - Anne rozejrzała się bezradnie dookoła. - Spodziewałam się, że może chociaż znajdę coś ... coś ... tylko co?

Zaczęła wołać Faraona, wielkiego psa ojca, wilczura, wężącego gdzieś pośród skał. Czekając na psa, rozglądała się jeszcze raz dookoła i nagle wstrzymała oddech. Wysoko, na zamkowych murach ktoś stał. Mężczyzna z rozwianymi włosami, w powiewającej czarnej opończy. Czarna, budząca grozę postać na tle nieba, znaczonego purpurą przez zachodzące słońce.

- Czy to ... ta bestia?

- Nie. T o szaleniec - odezwał się kapitan. - Na Szetlandach stał się już legendą.

- **Wiem, słyszałam o nim, kapitanie. Ludzie mówią, że on przestał być człowiekiem. Nazywają go Bestią z Czarnego Zamku.**
- **Szkoci są bardzo zabobonni. Proszę nie wierzyć w te banialuki o różnych potworach.**
- **Ależ wcale w to nie wierzę! Oczywiście, że nie!**

Odwróciła się i ruszyła przed siebie, do łódki, stąpając lekko po mokrych, błyszczących kamieniach. Kapitan wsiadł pierwszy i wyciągnął rękę, żeby jej pomóc przy wsiadaniu. I w chwili, gdy składała dłoń w jego dłoni, w wodzie coś zamigotało.

- Chwileczkę, kapitanie! ,

Przykucnęła. Teraz widziała dokładnie, co leży na piaszczystym dnie wśród czarnych kamieni. Złoty łańcuszek, w którym odbijały się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Zanurzyła rękę i wyciągnęła łańcuszek z lodowatej wody. To nie był tylko łańcuszek. Coś do niego było przyczepione. Złoty zegarek.

- Znalazłaś coś, pani? - spytał kapitan.

- Tak. Zegarek.

Otworzyła kopertę i zobaczyła napis: "Mojemu ukochanemu Johnowi w dniu naszego ślubu. Elizabeth" .

Elizabeth. Imię jej matki. Chociaż Anne zegarek ten widziała zaledwie kilka razy, nigdy z bliska, była pewna, że jest to zegarek

jej ojca.

**- Niestety, właściciel tego zegarka nie odczuwa już jego straty -
powiedział smętnie kapitan. - Proszę, wsiadaj, pani. Pora stąd
odpłynąć.**

**Jeszcze raz zawołała Faraona. Pies wreszcie wybiegł spośród
skał, z nosem przy ziemi. Nagle skręcił w lewo, teraz wężąc
bardzo gorliwie. Zatrzymał się. Zaskomlał i zaczął zajadle kopać**

w piasku.

- Faraon! Do nogi!

Pies przybiegł. Z pyska zwisał mu kawałek białego płótna.

Kapitan Singleton zaśmiał się.

- Jest pewien, że znalazł skarb! Szkoda, że nie potrafi wywęszyć złota! Może być tu złota o wiele więcej, niestety, z tego samego źródła, co zegarek.

- Tak. .. - powiedziała Anne nieswoim głosem, wyjmując chustkę z pyska psa. Na jednym z rogów chustki wyhaftowane były inicjały. J.C.C. John Charles Crofton. Chustka ojca, na pewno. Taką samą dał jej tamtego wieczoru, kiedy rozplakała się, opowiadając mu, jak umierała matka.

Jej ojciec na pewno gdzieś tutaj jest, żywy albo martwy. I po co ktoś zakopał jego chustkę? Zastanawiające... Ale miałyby to sens, jeśli ojciec żyje, a ktoś chce, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Kto? A któż miałby mieć ku temu lepszy powód, jak nie pan tej wyspy?

Faraon zaczął skomleć.

- Zabrałaś mu jego zabawkę, pani.

- A. .. tak.

Zaśmiała się ostrym, wymuszonym śmiechem i oddała chustkę

psu.

Odbili od brzegu. Lady Anne siedziała zamyślona, zapatrzona w wodę. Palce, wsunięte do kieszonki, bezwiednie głaskały zimne złoto. Kiedy łódź opływała cypel, odwróciła się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Czarny Zamek.

Na zamkowych murach nie było już nikogo.

Kiedy więzień odzyskiwał siły, Robert sam czuł się, jakby wracał do życia. Na tę chwilę czekał cierpliwie przez długie pięć lat.

Warto było poczekać. W końcu sir John Crofton znalazł się tam, gdzie powinien. W mrocznych lochach Czarnego Zamku.

Gavin McDougal przekręcił klucz w zamku. Skrzypnęły żelazne drzwi. Gavin odstąpił i podał Macqueenowi latarnię.

- Czy mam ci towarzyszyć, panie?

- Nie. Czekaj tutaj.

Robert pochylił głowę pod niskim nadprożem i wszedł do zimnego, zatęchłego lochu. W kącie, na sienniku leżał sir John.

- Przychodzisz mnie uwolnić? - spytał, zasłaniając oczy, odzwyczajone od światła.

Macqueen zaśmiał się.

- Przychodzę dobić z tobą targu!

- I zapewne wcale nie zamierzasz dotrzymać warunków umowy.

Ale dobrze, słucham. Co chcesz w zamian za mnie?

- Pozwolę ci odejść, jak zwrócisz mi żonę i syna.

- Mówiłem ci już nieraz, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią
kogokolwiek z Ravenscrag. Kiedy tam przybyłem, oni wszyscy
leżeli już
w grobach.

•
- **Zabito ich, aby tobie zrobić miejsce! A zresztą, mów, co chcesz, ja i tak ci nie wierzę. Twoje ręce są tak samo czerwone jak wasze szkarłatne kurty. Tej krwi nigdy nie zmyjesz, a już na pewno nie kłamstwem.**

- **Nie kłamię. Jak mam cię o tym przekonać?**

- **Nie zdołasz mnie przekonać. Lepiej nie trać na to swoich wątplych sił.**

- **W takim razie proszę cię, pozwól mi odejść. Złożę petycję u króla, żeby cały twój majątek został ci zwrócony, także**

Ravenscrag.

- Nie zwróci mi tego, czego pragnę najbardziej. Zony i syna.

- Możesz ponownie się ożenić, mieć wiele, dzieci. Jesteś jeszcze młody.

- To nie takie proste. Zabrałeś mi coś, co było dla mnie najcenniejsze. Musisz za to zapłacić. Zostaniesz tu na zawsze. I będziesz umierał. Każdego dnia ujdzie z ciebie więcej życia niż dnia poprzedniego. Każdej nocy będziesz modlił się o śmierć, ale ona tak prędko nie przyjdzie. Okażę ci tyle samo litości, co ty mnie. Nie zabiję cię. Pozwolę ci żyć, żebyś do ostatniego swego tchnienia żałował, że skorzystałeś na cierpieniu innych ludzi.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Sir John pobiegł za nim. Padł na kolana i chwycił go kurczowo za rękę.

- Błagam, powiedz mi, co mam uczynić. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Oddam ci wszystko!

- Oddaj mi moją żonę.

Robert wyrwał swoją rękę i przekroczył próg. Wręczył Gavinowi latarnię.

- Zamykaj.

- Tak, panie.

- Nie! - krzyknął dziko sir John. - Poczekaj! Wysłuchaj mnie!

Przecież ja wiem, co znaczy rodzina. Moja żona umarła, ale mam córkę. Wiem, jakie uczucia człowiek żywi wobec najbliższych.

Nigdy bym nie pozbawił drugiego człowieka jego rodziny!

Powiedziałem ci już. Nie wierzę ani jednemu twemu słowu.

Jesteś Anglikiem. Kłamstwo masz we krwi.

- A ty ... ty ... Jesteś wcieleniem szatana! Mięsień w twarzy

Roberta Macqueena drgnął. _ W takim razie zapamiętaj sobie

jedno. Z diabłem się nie pakuje!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lady Anne postanowiła, że właśnie dziś popłynie na tamtą wyspę.

Jej decyzja była nieodwołalna. Było to jedyne miejsce, gdzie

mogła uzyskać odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Niestety, kiedy opływała niewielki cypel, zasłaniający zamek

Ravenscrag, była już prawie u kresu sił. Wyprawa okazała się

nadzwyczaj ciężka. W domu, w Kornwalii, nieraz wypływała

łódką sama, ale tutejsze wody były jej nieznane i dziś wyjątkowo

nieprzychylne. Być może zaczynał się sztorm. Fale były wyższe, a

prądy silniejsze niż w Kornwalii. Panował przenikliwy ziąb.

Rękawiczki pokrywała skorupa lodu, zgrabiałe palce straciły

czucie. Ubranie miała mokre i choć ciało rozgrzane było od

wysiłku, ona i tak szczykała zębami. Ale musiała posuwać się do

przodu. Odplynęła za daleko, żeby teraz wracać. Zdawała sobie

doskonale sprawę ze swojej głupoty i zbytnej wiary we własne

sily. Upór i duma kazały teraz słono za siebie płacić ... Ileżby dała,

żeby cofnąć czas! Znów znaleźć się w Ravenscrag, w swojej

sypialni, w chwili gdy zastanawiała się nad podjęciem decyzji.

Teraz, naturalnie, podjęłaby całkiem inną. Zostałaby w domu.

W targanej sztormem szarości majaczyła już wyspa. Ale była za daleko i Anne, półprzytomna z wyczerpania, wiedziała, że nie starczy jej sił. Nie starczy ...

Spojrzała na swoje zgrabiałe ręce. Tak zgrabiałe, że nawet nie zauważyła, kiedy wiosła wysunęły się jej z rąk. Czyli koniec.

Pozbawiona wioseł, zdana jest na łaskę i niełaskę morza. A morze nie zna litości.

Była zmęczona. Tak zmęczona, że nawet myśl o zbliżającej się śmierci wcale nią nie wstrząsnęła. Miała już tylko jedno pragnienie. Zamknąć oczy i zasnąć. Znow poczuć dookoła siebie ciepło.

Umieranie wcale nie jest takie straszne, po prostu trzeba się położyć i zę.raz zmorzy cię sen. Położyć się ... Czują, że osuwa się na dno łódki. Nagle głowa trafiła na coś twardego i ogłuszający ból wypełnił całą czaszkę.

Robert, nie wierząc własnym oczom, wpatrywał się w łódkę.

Tylko skończony głupiec podczas takiego sztormu wypływa łódką w morze! A ten człowiek to uczynił. Z wielkim mozolem posuwał się do przodu ... i nagle już nie było go widać w łódce. Fale zaczęły wściekle miotać łódką. Czyli ten głupiec albo wpadł do wody, albo zziębnięty, bez sił leży teraz na dnie łódki, która niechybnie podryfuje na pełne morze.

Nie ... Łódkę wyraźnie znosiło ku wyspie. Robert zaklął i pomknął

schodami w dół, wzywając do siebie Manusa i Gavina.

Była już prawie noc, kiedy dotarli do miejsca, w którym każda następna fala przybliżała łódkę do brzegu. Macqueen zatrzymał się na klifie i podniósł wysoko latarnię, oświetlając Gavina, który wszedł w wodę, niegłęboką tu, bo sięgającą mu nieco wyżej kolan.

Dobrnął do tańczącej na falach łódki i za drugim razem udało mu się pochwycić za koniec liny, przywiązanej do dzioba. Odwrócił się, przerzucił sobie linę przez ramię i zaczął ciągnąć łódź, póki nie osiadła na twardym gruncie.

Robert dojrzał na dnie łódki nieruchomą postać, okrytą czarną opończą.

- Żyje? - zawołał.

- Nie wiem, panie! Ale chyba nie! Jego opończa zamarzła!

Manus podszedł do Gavina. Razem wydobyli z łódki nieruchome ciało.

- Leciutki jak piórko! - zawołał Manus do Roberta. - To jakiś chłopak!

- Żyje?

- Nie wiadomo!

- Nieście go do zamku, jak najszybciej!

Gavin i Manus wnieśli chłopaka do komnaty Macqueena, gdzie w kominku zawsze płonął ogień, a łożo zasłane było wilczymi skórami. Kiedy ułożyli go na łożu, Macqueen posłał ich po Grizel i Martę.

- Przynieście też butelkę ciepłej brandy i słoik miodu.

Kiedy służący wyszli z komnaty, Robert podszedł do nieruchomego ciała i przyłożył dłoń do policzka chłopca. Spojrzał bacznie. Twarz chłopca, teraz trupioblada, wydała mu się znajoma. Na pewno gdzieś już ją widział. Ale gdzie? Tego nie mógł sobie przypomnieć, a poza tym nie było czasu na rozmyślanie. Trzeba było jak najprędzej sprawdzić, czy chłopak żyje. Przyłożył ucho do piersi i usłyszeć bicie serca.

Obiema rękoma chwycił za koszulę i szarpnął mocno. Rozerwane płótno rozsunęło się na obie strony, a Robert - zastygł.

Dopiero kiedy usłyszał odgłos. Otwieranych drzwi, otrząsnął się z osłupienia. Zaklął, a Marta wydała z siebie cichy okrzyk.

- Ojej! Przecież to dziewczyna! A lord obnażył ją do pasa!

- Nie gadaj, tylko zejź mi z drogi - zagderła ochmistrzyni i odsunawszy Martę na bok, podeszła do łóża. - Czy ona żyje, panie?

- Ja ... ja nie wiem. Chciałem posłuchać serca, ale teraz ... Do diabła! Ty powinnaś to zrobić, Grizel!

Ochmistrzyni pokiwała głową i postawiwszy obok łóżka butelkę brandy i słoik z miodem, nachyliła się nad dziewczyną. Na moment zastygła w tej pozie. W końcu wyprostowała się i naciągnęła poszarpane płótno na obnażone ciało.'

- Serce bije, panie, choć bardzo słabo. Musimy ściągnąć z niej to mokre ubranie. Gdybyś mógł, panie, podnieść ją, wtedy razem z

Martą wyciągniemy spod niej oponę. A dalej poradzimy sobie

same.

Robert podniósł dziewczynę. Nawet w tym ciężkim, mokrym ubraniu nie ważyła więcej niż jeden z jego psów. A kiedy zsunęli jej z głowy kaptur, na łożę opadła wijąca się masa długich czarnych włosów. Jak połyskliwe sznury mokrych glonów.

Pomyślał, że to właśnie bardzo pasuje do tej istoty odebranej

morzu.

Grizel wsunęła pod dziewczynę suchy, złożony na pół koc.

Robert położył na nim dziewczynę i wyszedł, pozostawiając ją teraz w rękach kobiet.

Sny, które nawiedzały Anne, były osobliwe. Rzeczy znane i nieznane mieszały się w nich ze sobą. Słyszała huk potężnych fal, uderzających o rozkołysaną łódkę, czuła na ustach smak słonej morskiej wody. Wiedziała, że umiera. Ale kiedy odwracała głowę w drugą stronę, morze było spokojne i gładkie jak lustro.

A potem pojawił się on. Wyszedł z mroku.

Dziwny stwór, nie do końca człowiek, ale i nie bestia. Wcale się nie lękała, kiedy wziął ją na ręce. Zaczęła się bać, gdy poniósł ponad wodą, ku ciemności. Bała się, że na zawsze będzie musiała w niej pozostać, w tej ciemności, gdzie jest kryjówka bestii. Nigdy się stamtąd nie wydostanie. Nigdy ...

Jęknęła cicho, zaczęła rzucać głową po białej poduszce.

- Nie ... nie ...

Wtedy usłyszała głos wydobywający się z tej ciemności, ale głos pełen dobroci, starający się dodać jej otuchy.

- Nie bój się, jesteś tu bezpieczna. Śpij i o nic się nie martw.

Wcale nie była bezpieczna. Wiedziała o tym, wiedziała, że powinna stąd uciec, zanim nie będzie za późno. Gdyby nie była taka słaba, gdyby tylko ciało zechciało jej posłuchać ... Ale w

gardle wszystko było opuchnięte i piekło, jakby powpychano jej tam żarzące się węgle. Miała wrażenie, jakby ją całą gotowano żywcem. A za chwilę trzęsła się z zimna.

Ktoś próbuje ją zabić. Trzeba uciekać. Trzeba .. Łagodny głos znów przemówił, ale słów nie rozumiała. Ktoś uniósł nieco rej głowę, czuła, jak do gardła sływa słodki, palący napój. Kiedy przełknęła, poczuła przejmujący ból. Zaczęła rzucać głową na wszystkie strony, żeby dać do zrozumienia, że ona więcej nie chce. '

- Nie ...

- Jeszcze kropelkę, dziecko. To pomoże Ci zasnąć i odpędzi złe

sny.

Przelykała jeszcze trzykrotnie, za każdym razem walcząc z bólem, ale potem poczuła, jak cała się odprężyła i zapada w sen.

Oklamali ją. Złe sny powróciły, tym razem jeszcze gorsze. Leżała w wielkim łóżu w nieznannej komnacie. Nie mogła się poruszać, jakby krępowały ją niewidzialne więzy. Słyszała, jak klucz powoli obraca się w zamku. Drzwi otworzyły się. I zobaczyła go, stojącego w kręgu białego światła.

Oczy były żółte, nos nienaturalnie długi, zęby wydatne i ostre.

Twarz drapieżnika, twarz wilka. Przeraziła się.; ale jednocześnie poczuła coś jeszcze. Zapragnęła go, tego wilka. Zapragnęła w osobliwy sposób. Chciała, żeby ją objął, chciała poczuć wokół siebie silne, ciepłe ramiona ...

U niosła obie ręce w błagalnym geście. Przerazona tym, co robi.

Czuła, jak łoże ugina się pod jego ciężarem, szyję owionął ciepły oddech. Słowa pieściły ucho. - Jestem twój, moja piękna. Moja słodka istota z morza ...

Chciała krzyżeć, krzyżeć bez przerwy, póki on od niej nie odejdzie. Ale nie było ani krzyku, ani słów. Opór znikł, opadł z niej, jak skóra, którą zmienia wąż.

- Chodź do mnie, ukochana ...

Łzy spłynęły po policzkach. Całym jej ciałem wstrząsnął szloch.

Ale nadal żadne słowo odmowy nie uleciało z jej ust.

To sen, to tylko zły sen ... Niebawem się obudzę i znów będę w domu. Nic teraz nie jest rzeczywiste ... Nic ...

Wparła dłonie w materac, rozcapierzyła palce. Łoże pod nią było solidne, prawdziwe. Ostrożnie uniosła powieki. Płomień świecy zamigotał. Nabrała głęboko powietrza. Zapach wosku wypełnił

nozdrza.

_ Och, nie ... - szepnęła z rozpaczą - Ty nie możesz być

rzeczywisty.

_ Jestem. Naprawdę jestem. Twoje ciało wie o tym. Tylko twój umysł nie chce się z tym pogodzić.

Nagle poczuła jego usta na swoich. Jakież to było piękne wrażenie - wysyłało całą kaskadę doznań, jego dłonie błądziły po jej ciele, pieścily ...

Jawa czy sen?

_ Należysz do mnie, moja piękna. Morze mi ciebie podarowało.

Kiedy odzyskasz siły, wrócę do ciebie. Dam ci rozkosz, której

pragniesz. Czekał na mnie ...

Znów uniosła powieki. Stał już daleko od niej.

Zjawa, duch przeklęty i nikczemny, za ledwie cień. Czarne włosy i czarna oponcza zlewały się z czernią nocy.

Jeszcze tylko cichy, daleki szept:

- Wrócę do ciebie ...

Kiedy obudziła się, całą komnatę wypełniało łagodne światło poranka. Nie miała pojęcia, jak długo spała, kilka godzin czy kilka dni. Wiedziała tylko, że musi uciekać stąd jak najprędzej. Z tego miejsca rodzącego złe, odurzające sny.

- Nie możesz tu zostać, Anne - zaszepiała i z wielkim wysiłkiem próbowała usiąść na łóżku. - Musisz stąd odejść. Natychmiast.

Może więcej nie będziesz miała ku temu sposobności.

W głowie zakręciło się. Wygrzana pościel kusila. Ale decyzja była niezłomna.

Bądź silna, Anne. Nie ulegaj słabości, przemawiała do siebie w

duchu.

Poczula pod stopami gładki chłód kamiennej posadzki. Chłód rozlał się na całe ciało, odziane w koszulę nocną z grubego płótna, zbyt obszerną i zbyt długą. Teraz jednak nie wolno było tracić drogiego czasu na szukanie sukni i trzewików.

Jeśli chcesz stąd uciec, Anne, musisz zrobić to teraz, kiedy nikt nie spodziewa się, że poważysz się na coś tak nierozsądnego, przekonywała siebie w myślach.

Korytarze zamkowe były puste, ani żywej duszy. Anne nie miała pojęcia, w którą stronę podążyc, ale instynkt podpowiadał, że po prostu trzeba iść w dół, bo tam jest morze. Ślanając się na nogach, przemierzyła wiele pustych, mrocznych korytarzy, pokonała dziesiątki stopni. I kiedy nadzieja gasła, nagle, po otwarciu kolejnych drzwi, poczuła na twarzy chłodny powiew wiatru. Usłyszała krzyk mew.

Drogę ku morzu zagradzała już tylko brama z grubych żelaznych sztab. Chwyciła mocno za te sztaby i pchnęła. Brama ustąpiła.

Panie Boże, dzięki ci ...

Niebo nadal pokryte było ciężkimi chmurami.

Porywisty wiatr smagał ciało, okryte płócienną koszulą.

_ Idź - zaszepiała Anne, pragnąc, aby dźwięk głosu, nawet jeśli tylko swojego, dodał jej otuchy. - Nie myśl ~ tym, że jest ci zimno.

Pomyśl lepiej, że wkrótce będziesz daleko od tego zrujnowanego

zamku, cuchnącego stęchlizną, od tego stwora. Pomyśl o tym, jak

to będzie, kiedy wrócisz do domu. Będzie cudownie ciepło ...

Zauważył ją, kiedy przechadzał się po zamkowych murach.

Widział, jak upadła, ale podniosła się i dalej schodziła w dół po

skalistym brzegu. Wiadomo, po co. Do swojej łódki, łudząc się,

że uda jej się stąd czmychnąć. Kiedy jest słaba jak nowo

narodzone kocię, bosa i ...

- Do diaska! Przecież ona ma na sobie tylko tę koszulę!

Odwrócił się i znikł w drzwiach wieżyczki. Zbiegł schodami w dół,

zakręcając dwanaście razy i odszukał Manusa.

Manus wysłuchał go, kręcąc głową z niedowierzaniem.

_ Myślisz, panie, że chce uciec? Przecież ona przez pięć dni leżała

w malignie!

_ Wiem tylko, Manusie, że schodzi na brzeg. Jest bosa, odziana

tylko w koszulę, tak dużą, że zmieścilibyśmy się w niej obaj.

Trzeba zaraz po nią iść. Jeśli zdąży wsiąść do tej nieszczęsnej

łódki, niebawem skończy jako przynęta dla ryb.

- Pójdę po nią, panie. Sam ją przyniosę, ona nie waży więcej niż

garść mokrych wodorostów.

- Pójdę z tobą.

- Nie rób tego, panie. Ta dziewczyna lęka się ciebie.

Twarz Roberta stężała. Nie pojmował, dlaczego tak to go

zabolalo. Fakt, że dziewczyna boi się go tak bardzo, że nie waha

się narażać życia, byle tylko stąd uciec. Może te ponure wieści,

rozgłaszane o nim, nie mijają się z prawdą, może on rzeczywiście zmienił się w bestię? Jakby nie było] dziewczyna wierzy w to, co ludzie gadają. Wierzy, że on zmienia się we wściekłego wilka, który nocą biega po Szetlandach, szukając ofiary.

- Panie - odezwał się Manus, w jego głosie słychać było niepokój.

- Chyba nie zamierzasz jej tak zostawić! Chcesz, żeby sama wypłynęła w morze? Dla niej będzie to oznaczać wyrok śmierci!

- Oczywiście, że tego nie chcę. Zastanawiałem się tylko przez chwilę nad tym] co właściwie byłoby dla niej najlepsze.

- Trzeba ją zabrać z powrotem do zamku!

Ona jest jeszcze bardzo słaba, trzeba jej doglądać.

- I to zrobimy. Ale podejrzewam, że znowu będzie próbowała uciec. Jest zbyt przerażona. Obawiam się, że może nawet targnąć się na swoje życie.

- T o co zrobimy] panie? Odwieziemy ją tam, skąd przybyła?

- Tak] Manusie. Sądzę] że tak należy zrobić.

Anne, stąpając ostrożnie p6 nabrzeżnych kamieniach, wyczuwała czyjąś obecność. Ktoś podążał za nią od jakiegoś czasu. A ona nie miała już sił, żeby przyśpieszyć kroku. Była tak słaba. Potykała się co chwilę, słała na nogach, walcząc z własną słabością i coraz silniejszymi podmuchami wiatru.

Potknęła się i upadła, a sił brakło, żeby się podnieść. Mogła już tylko patrzeć, jak dwóch mężczyzn zbliża się do niej. Czowała lęk, ale jednocześnie ulgę, bo żaden z nich nie wyglądał na stwora,

pólczłowieka, żyjącego w ciemnościach. Byli to zwykli śmiertelnicy, widziała ich już przedtem. Starszy z nich, posunięty w latach, niewysoki i przygarbiony, szedł z trudem, jakby chodzenie sprawiało mu ból. Tamtego dnia, kiedy Anne przybyła na Szetlandy, ten właśnie stary człowiek przewiózł ją łódką na dużą wyspę, do Ravenscraę.g. A drugiego mężczyznę Anne pamiętała znakomicie, jego też przecież spotkała tamtego dnia.

Wiózł ją na swym koniu pod Czarny Zamek. Jego włosy, jak u tej bestii, co ponoć nocą przechadza się po murach zamkowych, były bardzo długie i czarne, ale wcale nie były dziko rozwiane, tylko związane z tyłu. Nie miał też na sobie czarnej, powiewającej opończy. I był piękny. Wysoki, smukły, długonogi. Schodził po skałach tak samo wdzięcznie i płynnie, jak woda spływająca ze skał do morza.

Dotarł do niej pierwszy. Przystanął w odległości kilku stóp i zmierzył gniewnym spojrzeniem. Jakże ona dobrze zapamiętała to spojrzenie!

Dygotała na całym ciele. Nie potrafiła nad tym zapanować. Była zbyt słaba, wyczerpana, żeby walczyć, czy w ogóle czymkolwiek się przejmować. Nawet myśl, że mogą podać ją bestii na najbliższy posiłek, wcale jej nie przerażała. Trudno, niech się stanie, co ma się stać, wołałaby tylko być daniem na ciepło ...

Bezsensowna myśl rozbawiła ją. Zaczęła się śmiać, choć w płucach miała ogień. Śmiała się, pewna, że straciła rozum. Albo

gorączka strawiła już jej mózg.

Młody mężczyzna zaklął dosadnie, pochylił się i wziął ją na ręce.

Bez żadnego wysiłku, jakby . podnosił liść z lustrzanej tafli

jeziora.

- Zmarzła na kość. Manusie, daj mi swoją opończę.

- Ona śmieje się, czy płacze? - spytał stary człowiek.

- Majaczy. Oddech ma gorący, ale ciało jest lodowate. T a

dziewczyna wcale nie jest taka głupia. Wyszła na dwór w taki ziąb

i to, być może, ocaliło jej życie.

- Zamarzłaby tu na śmierć!

- Ale dzięki temu gorączka opadła. Teraz zabieramy ją do zamku,

ale tylko po to, żeby odziać ją, jak należy. Potem razem z Gavinem

odwieziecie ją tam, skąd przybyła.

Lady Anne, odkąd wydobrzała po niebezpiecznej wyprawie, co

wieczór stawała przyoknie zamku Ravenscrag i wpatrywała się w

majaczącą po drugiej stronie zatoki dziwną bryłę Czarnego

Zamku.

On tam był. Wiedziała to. Przechadza się teraz po zamkowych murach, wiatr rozwiewa czarne włosy i czarną oponczę. On, ta bestia, która przyszła do lady Anne nocą. Nigdy nie zapomni jarzących się bursztynowych ślepi ... i jego słów ... wyszeptanych ... Co to było? Jawa czy tylko wytwór rozpalonej gorączką głowy?

Kiedy skrzypnęły drzwi, natychmiast opuściła kotarę i odwróciła się plecami do okna. Ale Fanny, zabierając się za ścielenie łoża, i tak napomknęła.

- A milady wciąż wypatruje tego diabła!

- Niewiele mam tu zajęć, Fanny. Czas mi się dłuży. I wciąż tu jest

tak zimno ... brr ...

Anne otuliła się mocniej szalem, podeszła do kominka i

wyciągnęła obie ręce ku gorącym płomieniom.

- Ktoś powinien w końcu popłynąć na tamtą wyspę i rozprawić się

z tą bestią - rzuciła ostrym głosem. - Jeśli to prawda, że on pożera

ludzi, powinno się skuć go łańcuchami i wtrącić do lochu. Albo

zastrzelić.

Fanny wygładziła starannie koldrę, nie zostawiając ani jednej

zmarszczki.

- Gotowe, milady! - oznajmiła, popatrując na swoją panią. - A milady nareszcie ma rumieńce na policzkach! Muszę wyznać, że kiedy milady przywieziono do zamku, nie wierzyłam, że milady dojdzie do zdrowia. Milady była blada jak wypatroszona ryba, za przeproszeniem. I mówiła nedorzeczności. Milady nie bała się, że umrze? - Nie. Czułam się okropnie i było mi wszystko jedno. Fanny z zadumą pokiwała głową.

- Czasami życie jest gorsze niż śmierć ... Czy milady ma jeszcze jakieś życzenia?

- Nie ... dziękuję, Fanny.

Lady Anne przyłożyła palce do skroni.

- Milady źle się czuje? - spytała z niepokojem służąca. - Boli głowa? To z tego smutku. I co się dziwić ... A poza tym łatwiej by było milady, gdyby pogodziła się ze śmiercią swego ojca.

- Nie. Jestem przekonana, że on żyje.

- Naprawdę milady tak myśli? Ale dlaczego?

- Mam powody, żeby sądzić, że jest więziony na wyspie za zatoką ... przez tego szaleńca.

- O, Boże, milady! Jeśli sir John jest w szponach diabła, gorsze to niż śmierć!

- Wiem. Dlatego koniecznie muszę go odnaleźć. Muszę jeszcze raz popłynąć na wyspę.

- Chce miłady po raz drugi narażać swoje życie? Przecież ten potwór, jeśli rzeczywiście uwięził sir Johna, i tak go nigdy nie uwolni!

Anne westchnęła i usiadła na bujanym fotelu przed kominkiem.

- Wiem. Dlatego jestem tak tym przybita. Nie mogę przecież zostawić ojca w biedzie. Prawie go nie znam, ale to mój ojciec, jedyny żyjący bliski krewny. I jest słabego zdrowia. Doktor nalegał, żeby ojciec zamieszkał w jakimś ciepłym kraju. Bo tutaj, nawet wśród największych wygod, nie pożyje długo. Boże wielki, ja nie mogę pozwolić, żeby ojciec ostatnie lata swego życia spędzał w niewoli!

- Ale miłady nie wolno oddawać swego życia za życie ojca! Miłady jest taka młoda! Pewnego dnia miłady wyjdzie za mąż i będzie chować gromadkę swoich dzieci. Mąż i dzieci to będzie najbliższa rodzina miłady. Miłady nie będzie sama!

Anne słuchała wywodów Fanny jednym uchem, zastanawiając się jednocześnie w duchu nad tym, co Fanny powiedziała na początku.

Nie wolno oddawać swego życia za życie ojca ... Nie wolno?

Trzeba! Ona to właśnie powinna uczynić. Wtedy dopiero uspokoi swoje sumienie. Była zdumiona, że wcześniej o tym nie pomyślała.

Zerwała się z fotela i rzuciła ku Fanny, która, wystraszona, cofnęła się o krok. Anne zaśmiała się i ujęła obie jej ręce w swoje

dłonie.

- Kochana Fanny! Nie bój się. Nie chciałam cię przestraszyć.

- Ale przestraszyła mnie milady! Wskoczyła z tego krzesła, jakby sam diabeł chwycił ją za nogę!

•
- **Wiem, że się przeraziłaś. Widzę przecież, jak ci się nogi trzęsą.**

Fanny zarumieniła się i opuściła głowę.

- **Proszę o wybaczenie, milady. Nie powinnam być taka**

strachliwa.

**- Och, Fanny, to nie ty powinnaś mnie przeproszać. To ja
powinnam ci podziękować!**

- Mnie? Ale za co, milady?

**- Za to, że podsunęłaś mi pomysł, jak wydostać ojca z niewoli! A
wiesz jaki? Pomyślałam sobie, że ta bestia, jeśli nie będzie chciała
uwolnić mego ojca, może zgodzi się na wymianę. Na innego
więźnia.**

- A kto niby miałby nim być? Tym drugim więźniem, milady?

- Jak to kto? Ja!

RODZIAŁ SZÓSTY

Manus, słysząc ryk Macqueena, zatrzymał się pod drzwiami do

sali zamkowej.

**- Jak sądzisz, Gavinie, czy my aby nie postąpiliśmy pochopnie,
wyjawiając mu, kim była ta dziewczyna?**

**- Chyba tak. Teraz wścieka się i pomstuje. Zły jak lew z kolcem w
łapie. Nie wie, jak 'go wyjąć, a każdy krok sprawia mu wielki ból.**

- Oj, tak, tak ... - westchnął Manus. - Ale zajrzeć tam do niego

trzeba ...

Otworzył drzwi i pierwszy przekroczył próg, dokładnie w chwili, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Znow pije -: szepnął Gavin, kryjąc się trwożliwie za plecami starego człowieka.

- Jak zwykle ... - Manus ze smutkiem pokiwał głową. - Pije i rozmyśla tylko wtedy, kiedy te diabły go dręczą. ·A jak ból staje się nie do zniesienia, musi czymś rzucić. Dziś zrzucił ze stołu całą zastawę ...

- Wczoraj kopnął kubek z wodą, który niosła Marta.

- A przed dwoma dniami uderzył ręką w szybę· Poranił ją sobie w dziewięciu miejscach!

- Miota się jak ogień zamknięty w zagrodzie ...

- Ej, wy tam, obaj! - Głos Macqueena zdawał się rozsadzać kamienne mury. - Jak macie coś do powiedzenia, do powiedzcie wprost! Nie znoszę tego szeptania za moimi plecami!

- Zastanawiałem się, panie, czy może po tym, czego się dowiedziałeś, nie chciałbyś mieć tej dziewczyny tu z powrotem - powiedział Manus. - Możemy ją tu przywieźć w każdej chwili!

- A po co? Mam pilniejsze sprawy na głowie niż hołubienie jakiejś wodnicy, która upodobala sobie moją wyspę!

- Pilniejsze sprawy? Jak torturowanie jej ojca? Robert rzucił na posadzkę puchar i długimi, gniewnymi krokami ruszył przez

salę. Prosto ku drzwiom. Potężny Gavin nagle skurczył się w sobie i wycofał na korytarz. Ale stary Manus nie ustąpił placu. Stał, gdzie stał i patrzył Macqueenowi prosto w oczy.

- Co robię z jej ojcem, to moja sprawa! - rzucił mu w twarz rozsierdzony Macqueen. - Kto jak kto, ale ty powinienesz wiedzieć, że ja nie jestem w stanie zadać temu łotrowi tyle bólu i cierpienia, na ile zasłużył! On powinien paść na kolana i dziękować Bogu, że tylko go zamknąłem w lochu. Wcale go nie torturuję ... jak na razie ...

- Wtrąciłeś go, panie, do lochu i przykuleś łańcuchem. To wystarczająca tortura. Dlaczego go nie zabijesz? Przecież wiem, że tylko tego pragniesz! Krwi! ~Wybacz, panie, ale ja dłużej milczeć nie mogę! I powiem ci, że jesteś o krok, żeby naprawdę zmienić się w bestię, taką, o jakiej ludzie gadają. Pięć lat minęło, a ty karmisz się tylko swoją rozpaczą i nienawiścią ... Ptaki smutku zawsze będą krążyć nad twoją głową, nie wolno jednak dopuścić, żeby uwiły sobie gniazdo w twoich włosach! Nie wolno pozwolić sercu, by zmieniło się w kamień!

Manus zamilkł. W sali zamkowej zapadła grobowa cisza. Robert przez dłuższą chwilę patrzył tylko na starego człowieka, który uratował mu życie i stał się dla niego jak ojciec. Ale teraz Robert nie chciał niczego z nikim roztrząsać. Chciał być sam, z dala od wszystkich. Wyjść stąd, zabierając ze sobą swoją rozpacz. I butelkę whisky. Choć w środku już paliło, bo wypił za dużo. T o

przez tę dziewczynę, Angielkę, co upodobała sobie jego wyspę.

Zjawiała się tu już po raz drugi, śliczna jak jezioro w blasku słońca.

I przypominała mu tak boleśnie o wszystkim, co utracił. O tym,

jak słodko jest być razem z ukochaną kobietą. Dojrzeć w jej

oczach zachętę. Wiedzieć, że cokolwiek się uczyni, pomyśli,

dokądkolwiek pójdzie, jest dla niej ogromnie ważne. Bo kocha go.

Nie dlatego, że jest tym, kim jest, że może jej wiele dać. Kocha go,

bo on dla niej jest wszystkim. Słońcem, księżycem i gwiazdami.

Ailis ... Serce Roberta ścisnęło się z bólu. Kiedy mu ją odebrano,

cały świat stał się zimny i mroczny, a życie jednym pasmem

udręki. Była w nim tylko rozpacz, palące poczucie winy i

jaskrawo czerwone plamy krwi niewinnej na jego rękach.

- Idźcie już spać - powiedział głuchym głosem. - Chcę zostać sam.

Kiedy wyszli, napełnił szklanicę i zasiadł na krześle przed

wielkim kominkiem. Cóż ten Manus prawil? Serca nie wolno

zmienić w kamień ... Czyli co? Robert Macqueen ma raptem

zrezygnować z czegoś, czym żył przez tyle lat? Poniechać

nienawiści i przebaczyć? O nie, on siebie nie zmieni, prędzej

zacznie zmieniać kwadraty w koła. Za długo czekał. Przez całe

lata myślał tylko o tym, jak dopaść sir Johna. Jak skrzywdzić

kogoś, kto kiedyś jego skrzywdził. W końcu dopiął swego.

Dziwne, że teraz wcale nie odczuwa euforii, nie triumfuje. Nie

czuje nic i to potęgowało jego gniew.

W drzwiach sali zamkowej stanęła ochmistrzyni.

- Robi się późno, panie. Nie powinieneś więcej pić.

Podniósł szklanicę, przechylił w jej stronę i zaśmiał się gorzko.

- Nic już tu nie ma! Jest pusta! Zdziwiające podobieństwo do mnie i mojego życia!

- Nie, panie. Gdybyś naprawdę był martwy, nie czułbyś nic. A ty masz rozdarte serce. Tylko sen przyniesie ci ukojenie. Rankiem wszystkie smutki zbledną.

_ Sen nie przyjdzie do mnie, Grizel. Zbyt wiele demonów prześladowa mnie dzisiejszego wieczoru

_ Ale może ta whisky przytępiła twoją pamięć. A sen jest ci bardzo potrzebny, panie.

Cicho wsunęła się za nim do jego komnaty. Kiedy opadł ciężko na łóżko, ściągnęła mu buty. Przykryła go wilczymi skórąmi i pogasiwszy świece, na palcach wyszła na korytarz.

A jemu znów przyśniła się Ailis.

Piękna Ailis, o melodyjnym głosie i jasnej skórze. Ale kiedy wyciągnął do niej rękę, pragnąc jej dotknąć, jasne włosy nagle pociemniały, stały się czarne jak skrzydło kruka. Twarz, która nachyliła się ku jego ustom, nie była twarzą zmarłej żony. Była to twarz tej dziewczyny, tego pomiotu szatana. Szatana, który odebrał życie Ailis.

Obudził się zlany potem. Znów ta czarnowłosa dziewczyna zawładnęła

jego

snem.

Czyniła

tak

CO

noc,

odkąd

niespodziewanie zjawiała się na jego wyspie. Próbowwała

jasnozłocisty wizerunek Ailis zakryć swoją diabelską czernią.

Szydziła z niego, dręczyła.

A on ... on nadal jej pragnął. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzał.

Wstał z łóżka i narzucił opończę. Tylko zimny wiatr mógł teraz

uspokoić jego rozpaloną głowę. Wyszedł na zamkowe mury,

zaczął iść przed siebie, pragnąc, aby jego myśli cały czas pozo-

stawały przy zmarłej małżonce. I tak było. Bo kiedy przystanął i

zapatrzył się na bezkresne morze, czuł, że jej słodka dusza jest

gdzieś tam, wśród fal... tylko za daleko, żeby po nią sięgnąć. -

Ailis, moja miłości, moje życie ... Ailis... . Odrzucił głowę w tył i

wydał z siebie pełen rozpaczny krzyk. Żalony dźwięk przemknął

po-

nad powierzchnią wody, teraz cichej, nieruchomej i zimnej jak

śmierć.

W piersi poczuł przeszywający ból. Gorące łzy spłynęły po

policzkach. Krzyknął jeszcze raz, przez te łzy.

- Dlaczego?! Dlaczego?!

Nagle poczuł koło siebie lekki, ciepły powiew. To ciepło dotknęło

jego policzka, jakby ktoś musnął je ciepłą dłonią.

**To dłoń Ailis. Nie mówiła nic. Nie musiała, on i tak wiedział,
dlaczego przyszła. Chciała uwolnić się z łańcuchów, które nawet
po śmierci przykuwały ją do niego. Odejść, aby mogła spoczywać**

w spokoju.

Odejść ... Ta myśl przeraziła go. Przecież Ailis była jedynym ogniwem, które łączyło go z resztką rozsądku. Tak jak przy życiu utrzymywała go tylko nienawiść do człowieka, który ją zabił. Bez tych dwóch ogniw dawno zmieniłby się we wściekłego wilka, za

jakiego mieli go ludzie.

- Nie proś mnie o to! Błagam!

Odeszła. Bez jego przyzwolenia. Ciepłe palce, muskające jego twarz, nagle stały się lodowato zimne. Biała zjawą, utkana z migotliwej mgły, przesunęła się bezgłośnie wzdłuż muru i zaczęła się oddalać ponad cichą, czarną wodą.

- Powinnaś mnie nienawidzić! - zawołał z rozpaczą. - Zostawiłem cię samą, nie było komu cię bronić! Jestem winien twojej śmierci. T o ja cię zabiłem! Prześladowaj mnie! Prześladowaj! Nie pozwól mi za pomnieć!

Zatrzymała się na króciutką chwilę. Wyciągnęła ku niemu rękę, przezroczystą, utkaną z mgły. On przechylił się ponad murem, wyciągnął ku niej rękę i błagał:

- Nie odchodź, Ailis. Nie zabieraj mi siebie, nie zabieraj mi wspomnień ...

Ale duch Ailis zaczął znów przemykać ponad czarną wodą. Oddalał się coraz bardziej, coraz mniejszy i mniejszy, póki całkowicie nie znikł mu z oczu.

Tym razem Anne bez żadnego trudu dopłynęła do wyspy, na której stał Czarny Zamek. Niebo było bezchmurne. Słońce tego dnia wyjątkowo szczerze obdarzało swym światłem i ciepłem małą wyspę, a w jego złocistych promieniach stary zamek, choć w połowie popadł w ruinę, nadal wydawał się piękny i okazały.

Stare, ciężkie drzwi z dębiny, nabite ćwiekami, otworzyła młoda

kobieta o płomienistych włosach, przewiązanych chustką.

- Proszę wejść, lady Crofton. Nasz pan oczekuje milady.

- Widzieliście, jak tu przyływałam?

- Tak. Lord Macqueen zobaczył milady.

Anne podążyła za służącą.

- Ale ja nie przybyłam tutaj, żeby widzieć się z lordem

Macqueenem. Pragnę zobaczyć się z bes ... z człowiekiem,

którego nazywają Bestią z Czarnego Zamku. Muszę koniecznie z

nim pomówić.

Dziewczyna nie odezwała się. Szła dalej długim, mrocznym

korytarzem, rozjaśnionym światłem pochodni, potem weszły na

górze po wąskich, krętych schodach i znów podążyły długim kory-

tarzem, do drzwi większych niż wszystkie te, które mijaly po

drodze.

Rudowłosa dziewczyna nacisnęła na klamkę. - Proszę wejść, lady Crofton. Lord Macqueen oczekuje ciebie, pani.

Anne, uczyniwszy głęboki wdech, przestąpiła próg, pojmując w tym momencie, co czuły owe nieszczęsne królowe na widok kata, który czekał na nie ze swoim toporem.

Stał nieruchomo obok masywnego rzeźbionego stołu, na którym paliła się jedna samotna świeca. Wysoki, szczupły i wyniosły jak imperator. Wpatrywał się w nią. A ona czuła, że zaczyna dygotać.

- Z czym przybyłaś tu, pani?

- Przybyłam tu, bo pragnę spotkać się z człowiekiem, którego zwa Bestią albo Wilkiem z Czarnego Zamku.

- Postępujesz, pani, nierozsądnie, używając tego imienia. On go

nienawidzi.

- Wybacz, panie, nie chciałam nikogo urazić. Ale, niestety, innego imienia nie znam. A ja koniecznie muszę z nim porozmawiać, to sprawa najwyższej wagi. Tu chodzi o czyjeś życie.

- Niezależnie od pobudek, jakimi kierujesz się, pani, postępujesz nierozsądnie. Zdecydowałaś się na krok nadzwyczaj śmiały.

- Być może, ale ponoć bogowie sprzyjają ludziom odważnym.

- A w czym tobie mają sprzyjać? Masz tyle do zaofiarowania ... -

Jego wzrok przemknął po całej jej postaci. - Kłopot tylko w tym, czy jego będą pociągać twoje wdzięki.

- Obawiam się, że źle pojąłeś moje intencje, panie!

- Czyżby? W takim razie może nadeszła pora, abyś wyjawiała mi, po co przybyłaś tutaj. Oszczędzając sobie niepotrzebnych kłamstw, które już z twoich ust słyszałem, gdy Po raz pierwszy zjawiałaś się na mojej wyspie. Bo to byłaś ty.

- Tak, panie. Wybacz mi te kłamstwa, ale one były podyktowane moim ogromnym lękiem ... Bałam się pana ... ale to, z czym przychodzę, nie jest przeznaczone dla twoich uszu, panie, lecz dla uszu kogoś innego.

- Bestii, jak powiedziałaś?

- Tym razem to ty powiedziałaś, panie. Choć ostrzegłeś mnie, że on nienawidzi, kiedy nazywa się go tym imieniem.

- Jeśli słyszy je z ust innych ludzi ...

- Innych?! Ale to ty ... To znaczy ... Och, Boże wielki! To jesteś ty!

Była prawie nieprzytomna z przerażenia. Nie widziała prawie nic.

Wyciągnęła rękę i trzymając się ściany, zaczęła przesuwac się w

bok, po chwili uzmysławiając sobie z rozpaczą, że popełnia błąd,

ponieważ oddała się od drzwi. Ale, z drugiej strony, podążała

przecież ku oknu, a to też była jakaś droga ucieczki.

Dotarła do okna, oparła się plecami o kotarę, czując za plecami

szybę.

- Jesteś, pani, osobą niezmiernie intrygującą - powiedział

Macqueen, podchodząc do niej bliżej. - Boisz się mnie tak bardzo,

że gotowa jesteś teraz wyskoczyć przez to okno, co może zakoń-

czyć się dla ciebie bardzo niefortunnie. Nie pojmuję więc,

dłaczego znów tu przybyłaś.

- Ja ... ja, niestety, panie, znana jestem z tego, że rzadko kiedy

czynię coś rozważnie. Teraz uległam mojej przeklętej

ciekawości.' T o ona mnie tu przywiodła, dlatego zburzyłam twój

spokój, panie, i spokój tego domu. Nie pozostaje mi nic innego,

jak prosić o wybaczenie i odejść stąd ...

Był teraz tak blisko, że słyszała jego oddech.

A w niej serce zamierało, strach ścisnął za gardło. Boże, tak czuje

się zaszczute zwierzę, które zaraz spotka śmierć ...

- Znów kłamiesz. Dlatego ostrzegam. Nie wyjdiesz stąd, póki nie

powiesz, co ciebie tu przywiodło.

- Ja ... ja chciałam uczynić pewną propozycję.

- Jaką?

- Jestem córką sir Johna Croftona.

- A to już wiem. I co dalej?

- Jestem przekonana, panie, że morze nie zabrało mego ojca.

Razem z innymi dopłynął do tej wyspy i jako jedyny ocalał.

Chyba, że ty go ... zabiłeś. A jeśli tego nie uczyniłeś, to wziąłeś go w niewolę.

- Skąd ta pewność?

- Tamtego dnia, kiedy dotarła do mnie wieść o jego śmierci, przybyłam tu, ha tę wyspę, ponieważ wydało mi się dziwne, że tylko ciało mojego ojca nie zostało odnalezione. Słyszałam też, że on i ty, panie, wiedliście ze sobą jakiś spór. Dlatego chciałam na własne oczy zobaczyć miejsce, gdzie rozbił się "Albatros".

Zabrałam ze sobą psa mojego ojca, Faraona. Pies odnalazł w piasku chustkę swojego pana.

- Zapewne przysła tu z falą i wiatr przykrył ją piaskiem.

- Być może. Ale złoto jest za ciężkie. Zegarek, kiedy wysunął się z kieszonki, opadł na dno.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła zegarek swojego ojca.

- Leżał w płytkiej wodzie, niedaleko brzegu. To dowód, że mój ojciec tu był. Chcę wiedzieć, co się z nim stało. Wiem, panie, że twoja nienawiść do niego jest tak wielka, że mogłeś go zabić.

- A jeśli tego nie uczyniłem?

- Wtedy on na pewno jest tutaj. Jeśli żyje i jest tutaj, chciałam

przedstawić pewną .. · propozycję ·

- A. .. Domyślam się - wycedził. - W zamian za uwolnienie twego ojca chcesz zaproponować mi kilka ... usług. Zabawne! Może jeszcze powiesz, że oddasz mi swoje dziewictwo, chronione jak największy skarb!

Odwróciła głowę i zamknęła oczy. Ten człowiek był mistrzem w upokarzaniu. Ale ona nie dopuści, żeby nikczemny potwór miał satysfakcję doprowadzenia jej do łez.

Kiedy jego palce dotknęły jej twarzy, drgnęła.

Ale na walkę nie miała już siły. Dlatego on bez kłopotu odwrócił

jej twarz ku sobie.

- Powiedz mi prawdę. Już raz ci mówiłem, że nienawidzę kłamstwa. Mów! Co chcesz dać w zamian za życie swojego ojca?

- Swoją wolność.

Macqueen zaklął.

- Ten lotr nie jest tego wart! T o zabójca. Zasłużył sobie na naj sroższą karę!

- Być może. Ukarz więc mnie, panie, a nie jego.

Znów zaklął. Nagle podniósł obie ręce, szarpnął za zasłony i rozsunał je. Blask słońca rozświetlił komnatę.

I jego twarz. W niczym nie przypominał potwora, który jawił jej się w malignie. Oczy nawet nie miały żółtawego odcienia. Były ciemnoniebieskie, prawie granatowe, ale spojrzenie tak chłodne, że zadrżała.

- Musisz bardzo kochać swojego ojca, skoro chcesz się dla niego tak poświęcić.

- Prawie go nie znam, panie. Chowala mnie matka, w Kornwalii.

Zmarła kilka miesięcy temu, a ja oprócz ojca nie mam żadnych krewnych. Dlatego tu przyjechałam. Niestety, wkrótce po moim przyjeździe wypłynął w morze i już nie powrócił.

- O ile sobie przypominam, mówiłaś mi kiedyś coś innego.

- Skłamałam. Wybacz, panie. Ale tym razem to naj szczerza prawda. T o mój ojciec, winnam mu szacunek. Jest bardzo chory,

cierpi na piersiową gorączkę. Jego dni są policzone, tak powiedział mi doktor. Nie mogę pozwolić, żeby odchodził z tego świata, znajdując się w niewoli. Sumienie mi na to nie pozwala. Pragnę, żeby umarł, będąc wolnym człowiekiem.

- Sumienie, powiadasz ... A mnie się wydaje, pani, że wiem, co sobie umyśliłaś. Wierzysz w dobroć ludzi. Sądzisz, że nie posunę się do tego, żeby skrzywdzić kobietę. Nie zdajesz .sobie sprawy, jak bardzo się mylisz.

- T o nie ma żadnego znaczenia.

- Nie? W takim razie ... zgoda. Przystaję na twoją propozycję.

- Czyli daru jesz memu ojcu życie?

- Pod warunkiem, że zostaniesz tutaj, jako mój więzień.

- Zostanę. Masz, panie, moje słowo.

Następnego ranka Robert przemierzał swoją komnatę wzdłuż i wszerz. Trząśł się z gniewu na samego siebie. Dureń. Dał się omamić kobiecie, która była córką jego zaprzysięgłego wroga i przystał na jej głupią propozycję. A teraz

- ponieważ - uzmysłowił sobie, że przetrzymywanie tej kobiety w Czarnym Zamku w zamian za uwolnienie jej ojca właściwie nic nie da. W rezultacie sir John wyjdzie z tego obronną ręką. Odejdzie stąd wolny i nietknięty, a Robert, związany głupią umową, nie będzie mógł go ukarać. Bo skoro

umo

wę zawarł, musi jej dotrzymać, jak nakazuje honor.

**Znów uczynił kilka gniewnych kroków, zastanawiając się w
duchu, czy nie znajdzie się jednak jakiś sposób, żeby lajdakowi
wbić gwóźdź w podłe serce. Nagle przystanął. Tak. To może**

0

kazać się skuteczne ... Na pewno będzie skuteczne!

**Nie minęła chwila, kiedy schodził już do lochów. Kazał szybko
otworzyć drzwi i z lampą w ręku wkroczył do ciemnicy. Sir John,**

pr

zygarbiony, siedział na stolku.

- Macqueen! Przeszedłeś upajać się moją poniewierką, czy mnie zabić?

- Przyszedłem ci powiedzieć, że twoja córka jest tutaj.

Sir John poderwał się ze swego stolka, tak gwałtownie, że omal

nie u

padł.

- Moja córka?! Na litość boską, dlaczego ją tu sprowadziłeś? Ona nie ma z tym nic wspólnego!

- Twoja córka zjawiała się tu z własnej woli. Przyszła ze mną pertraktować, żeby ocalić ci życie. Zaproponowała coś zadziwiającego. Powiedz mi, czy to prawda, że ona niedawno przyjechała do ciebie, do Ravenscrag, i że wy prawie się nie z nacie?

- Tak. Bess, moja żona, opuściła mnie, kiedy Anne miała trzy lata. Zabrała ją do swojej rodziny, do Kornwalii. Kiedy Bess umarła,

An

ne przyjechała do mnie. .

- Zastanawiam się więc, skąd u niej tyle miłości i oddania dla ojca, którego właściwie nie widziała przez całe swoje życie. Bo ona przybyła tu jako anioł miłosierdzia. W zamian za twoje nędzne życie zaoferowała siebie.

- Co?!

**Twarz sir Johna zrobiła się trupioblada. Zachwiał się i oparł o wilgotną, kamienną ścianę. - Nie! - krzyknął rozpaczliwie. - Nie moż
esz przyjąć tej propozycji!**

- Nie do wiary - cedził dalej Macqueen. - Tak wielka miłość ojcowska do dziecka, które ujrzałeś dopiero wtedy, kiedy stało się dorosłą kobietą! Nie miałem pojęcia, że instynkt opiekuńczy u ojca może być rozwinięty do tego stopnia. Skąd zresztą miałbym to

wi

edzieć skoro ty zamordowałeś moje jedyne dziecko!

Tak

jak się spodziewał, sir John ostatnie jego słowa zignorował.

- Ona jest taka młoda! - powiedział. - Jeszcze tyle przed nią. A ja jestem starym, schorowanym człowiekiem ...

- I umierasz.

- Powiedziała ci?

- Tak. A ty nie zamierzałeś mi tego wyjawić!

- Po co? Przecież ty masz serce z kamienia.

- Przeciwnie. Mam serce bardzo współczujące. Dlatego postanowiłem przyjąć jej ofiarę .. A tobie darować życie.

- Chryste!

Ręce sir Johna wyciągnęły się do gardła Macqueena. Odepchnął go bez trudu. Sir John osunął się na posadzkę. Długo kasłał potem ciężko dysząc, oparł głowę o ścianę.

- Radzę ci trzymać ręce przy sobie - warknął Robert. - Bo skończy się na tym, że i tak pożegnasz się z życiem. Chociaż twoja córka jest już moja. - Twarz Roberta wykrzywił zły uśmiech. - Możesz nam pobłogosławić!

- Ty ... ty głupcze! - wydyszał chrapliwie sir John. - Nigdy nie wyrażę zgody na to małżeństwo ...

- A czy ja wspomniałem o małżeństwie? Jeśli chcesz się nacieszyć owocem, nie musisz kupować całego drzewa!

- Nie zgadzam się! Weź moje życie. Weź je teraz i niech to

wszystko się już skończy!

- Dla ciebie już się skończyło. Jesteś wolny, jutro rano zostaniesz odwieziony do Ravenscrag. A twoja córka zostaje tutaj.

- Ty diable jeden! Poczekaj no, ja tu jeszcze wrócę! Odbiorę ci moją córkę, nawet jeśli będę musiał wszcząć krwawą wojnę! I dożyję jeszcze chwili, kiedy moja córka weźmie sobie godnego siebie męża!

- Obawiam się, że twoje pobożne życzenia się nie spełnią. Bo jeśli przyjdzie mi ochota uczynić ją moją prawowitą małżonką, nikt mi jej nie odbierze. Nawet sam król nie ma takiej władzy. A lady Anne zgodzi się na wszystko. Mam jej słowo.

Sir John zamknął oczy i odchyliwszy głowę, wydał z siebie okrzyk największej udręki.

- Nie!

Ale Macqueen już odszedł.

Kiedy Macqueen wkroczył do galerii, Manus spojrział na niego z uwagą] ale nie odezwał się ani słowem.

_ Przyrowadź lady Anne do kaplicy! - polecił Robert i stary człowiek oddalił się mrocznym korytarzem.

Robert podążył do kaplicy i tam, przy ołtarzu, czekał na lady

Anne.

Zjawiała się niebawem. Stała niepewnie w drzwiach, spoglądając na niego trwożliwie.

_ Dlaczego kazalesz mi tu przyjść, panie? Do kaplicy?

- Nie lubisz świętego miejsca, pani?

- Nie sądzę, żeby kaplica była stosownym miejscem na spotkanie i układanie się w sprawach nikczemnych.

_ A ja sądziłem, że doszliśmy już do porozumienia. I teraz ja chciałbym przedstawić ci pewną propozycję.

- A jaką, panie?

_ Jestem gotów zwrócić twemu ojcu wolność. Pozwolę mu wyjść za bramy tego zamku. Ale pod jednym warunkiem ...

- Warunkiem?! - powtórzyła, nie kryjąc zdumienia. - Zartujesz, panie! Przecież wczoraj wieczorem uzgodniliśmy wszystko.

Robert udał zdumienie.

- Raczysz wybaczyć, pani, ale chyba jednak nie wszystko!

- Chyba jednak wszystko, panie! - oświadczyła głośno i gniewnie.

- Daleś słowo, że zwrócisz memu ojcu wolność w zamian za to, że ja tu zostanę.

- Mówiliśmy tylko o darowaniu życia. O to prosiłaś. Pomnij swoje słowa, pani!

- Och, Boże ...

Lady Anne zbladła jak ściana, uzmysławiając sobie z

przerażeniem, jak wielki popełniła błąd. - Jesteś nikczemny,

**panie! - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - Ludzie mają rację, że
zwą cię szatanem!**

**- To ty popełniłaś błąd, pani. Dlatego powściągnij swój gniew i
daruj sobie te poetyckie określenia!**

**- Ale zdawałeś sobie sprawę, że proszę dla niego o wolność, to
przecież oczywiste!**

**- Mężczyzna, kiedy zawiera umowę, nie wnika w czyjeś myśli,
nie zastanawia się nad tokiem rozumowania drugiej strony.**

**Podjmuje decyzję na podstawie tego, co usłyszy, jasno i
wyraźnie. Jeśli chciałaś prosić o uwolnienie swego ojca,
powinnaś była inaczej sformułować swoją prośbę.**

- Ale ja ... ja chciałam ...

**- Umowa jest umową. Ja jej dotrzymam. Daruję twemu ojcu
życie, a ty zostaniesz tutaj.**

**Lady Anne zbladła jeszcze bardziej i jedną z białych delikatnych
dłoni przyłożyła do czoła.**

- Boże wielki ... - szepnęła. - To jak to teraz będzie?

**- Ano jakoś tam będziemy żyć sobie dalej ! Ty, pani, zamieszkaż
w Czarnym Zamku. Będzie ci wolno poruszać się swobodnie,
oczywiście tylko w obrębie wyspy. Po pierwszej próbie ucieczki
oddam cię pod straż.**

- A mój ojciec?

- Pozostanie przy życiu.

- Ale gdzie?

- W lochu, tam, gdzie jest teraz.

Usta lady Anne zadrżały. Na pewno była bliska płaczu, ale zdołała się opanować.

- Panie, proszę, powiedz; czy innej możliwości nie ma? Pragnę z całego serca, żeby mój ojciec był wolny, mógł powrócić do Ravenscrag i w spokoju dożyć swoich dni.

- A co dostanę w zamian? Musisz mi coś zaoferować, pani.

- Cóż ja mogę ci więcej zaoferować, panie?

Oddałam ci już moją wolność. Niczego więcej dać CI nie mogę.

- Możesz.

Ujął jej białą, drżącą dłoń i złożył na niej pocałunek.

Jakże pragnął tej kobiety ...

- Możesz dać mi siebie, pani.

Krzyknęła cicho i gwałtownie cofnęła swą dłoń.

- Nigdy nie zostanę twoją metresą! Nigdy!

- A ja wcale cię o to nie proszę! Chcę, żebyś została moją żoną.

Jeśli oddasz mi swoją rękę, sir John odejdzie stąd, jako człowiek

wolny.

- Chcesz, panie, żebym została twoją żoną?

- Zdumienie w jej oczach przesłoniły łzy. - Jakże to tak. .. Chcesz

poślubić córkę człowieka, którym gardzisz? Kobietę, której nie

znasz i nie darzysz żadnym uczuciem? Och, pojmuje ... Wet za

wet. Mój ojciec ponosi odpowiedzialność za śmierć twojej żony,

dlatego chcesz wziąć mnie, żeby uczynić go nieszczęśliwym ...

Och, Boże ...

- Do niczego cię nie przymuszam, pani. Sama zadecydujesz.

Opuściła głowę, pochyliła plecy pod brzemieniem trudnej decyzji.

Kiedy spojrzała mu w twarz, jej oczy były nieskończenie smutne.

- Masz, panie, moje słowo.

- Powiedziałem już, że lubię słowa jasne i jednoznaczne. Co

przyrzekasz mi, pani?

- Oddam ci swoją rękę, panie, jeśli uwolnisz mego ojca i

pozwolesz mu żyć w spokoju tak długo, jak mu sądzone. Bez lęku,

że ktoś czyha na jego życie.

- Tak się stanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Macqueen nie dotrzymał słowa.

Nie znaczy to, że nie poślubił Anne Crofton. Jakies trzy miesiące

później wziął ją za żonę, dzięki czemu, jak sam to wyraził,

nikczemne, niegodziwe nazwisko Crofton zmienił jej na bardziej

odpowiednie i godne szacunku.

Nie znaczy to również, że nie uwolnił jej ojca.

Sir John opuścił Czarny Zamek jako człowiek wolny.

Smutna prawda polegała na tym, że od zaślubin ani razu nie pojawił się nocą w komnacie małżonki. Nie było nawet nocy poślubnej. Lady Anne była tą sytuacją skonsternowana, co z kolei powodowało, że w towarzystwie Roberta, który w dzień bynajmniej jej nie unikał, nie czuła się swobodnie. Była lękliwa i małomówna, a to irytowało go niepomieranie.

Któregoś dnia Robert poprosił, żeby opowiedziała mu o sobie, o swoim życiu. Anne, jak zwykle, ociągała się z odpowiedzią.

- Dlaczego jesteś stale taka lękliwa, Anne?

Opowiedz mi, proszę. Zaczniemy od twojej matki. Jak miała na imię?

- Bess ... Elizabeth.

- I co dalej?

- A więc ... Najpierw się urodziła.

- Domyślam się. I co dalej? - pytał, ciągle jeszcze łagodnie i

cierpliwie.

- Potem chowano ją na damę. Zaręczono z moim ojcem, którego nie znała. Pobrali się. I mieli córkę, którą nazwali Anne.

- A jaka była twoja matka? Jak wyglądała?

- Tak ... zwyczajnie.

W tym momencie stracił panowanie nad sobą. Ostрым głosem zażądał, aby zaczęła być bardziej elokwentna, ona zaparła się i w ogóle przestała się odzywać. Dopiero po dłuższej chwili spytała:

- I co teraz, panie mężu? Kazesz zamknąć mnie w lochu za nieposłuszeństwo czy wysmagać pejczem?

Wtedy Robert zdumiał ją. Bo po raz pierwszy pozwolił sobie na słowa bardzo szczere.

- Wybacz, Anne, zachowałem się jak grubianin. Moje maniery nie są najlepsze. Ty liczysz zaledwie siedemnaście wiosen, a ja wkrótce kończę trzydziestą, dla tego też i zdążyłem doświadczyć więcej niż ty. Niestety, w moim życiu były wydarzenia bardzo bolesne. Zgorzkniałem. Stałem się porywczy i bardzo surowy w swoich sądach. Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie mogę obiecać, że się zmienię. Mogę tylko prosić o wyrozumiałość i cierpliwość.

Czyli uczynił krok milowy. Anne nie mogła pozostać jak glaz, dlatego też uczyniła krok, co prawda o długości zaledwie cala.

- Postaram się nie czuć dotknięta.

Nie uśmiechnął się - on w ogóle uśmiechał się bardzo rzadko -

ale w jego oczach pojawiło się rozbawienie.

_ Kiedy patrzę na ciebie, Anne, zachwycam się
twoją młodością. I próbuję sobie przypomnieć, jak to było, kiedy
byłem w twoim wieku.

_ Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał mnie za dziecko, a siebie za
człowieka w podeszłym wieku.

_ Bo tych lat mam już niemało. I tyle żalu noszę w sobie. A moja
beztroska młodość skończyła się bardzo prędko, tego dnia, kiedy
zostałem przywódcą klanu. Byłem jeszcze za młody, żeby brać na
swoje barki taki ciężar. A czasy były takie niespokojne. Ale
upajałem się tym, że wspiąłem się na szczyt... Cóż z tego, kiedy
potem nic już nie było dobrze, tylko ból i rozpacz ... Pograżyłem
się w cierpieniu, niejednokrotnie myślałem, że Bóg z rozmysłem
wydał mnie na pastwę szatana. Byłem przekonany, że życie moje
już się skończyło, kiedy nagle ... nagle w mroku mojej duszy
zabłysło nikle światełko. Zobaczyłem coś ... coś, czego
zapraгнаłem. I dalej pragnę, tylko nie wiem, jak po to sięgnąć.
Zbyt długo nie byłem sobą, zbyt długo życie płynęło obok mnie.
Ale wiem, że jest nadzieja. Nadeszła, jak anioł skrzydlaty, z
rozpostartymi ramionami, anioł miłosierdzia i światła.
Zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, jakby czegoś w
niej szukał. Potem uśmiechnął się i pocałował ją, bardzo
delikatnie, ale moc tego pocałunku była tak wielka, że Anne omal
nie osunęła się z krzesła na posadzkę. Oszołomiona, ledwo

słyszała, co mówi teraz do niej:

- Arabowie ponoć mawiają, że kiedy zjawiają się aniołowie, diabły znikają. Teraz pojmuję, że tak jest naprawdę.

Po trzech miesiącach małżeństwa prawie wszystko układało się pomyślnie. Anne miała tylko jeden powód do strapienia. Mąż nadal wykazywał całkowity brak zainteresowania w uczynieniu jej żoną w prawdziwym tego słowa znaczeniu, a dla niej ta kwestia stawała się nadzwyczaj istotna. I co się dziwić, skoro poznając Roberta Macqueena bliżej, przekonała się, że opowieści o bestii należy między bajki włożyć. Żadnych straszliwych cech nie można się było u niego doszukać, przeciwnie, był to człowiek pełen zalet, co prawda głęboko ukrytych, bo zdominowanych

przez przeogromny smutek.

Wyczuwała, że bardzo mu się podoba, dlatego nie pojmowała jego niewiarygodnej wprost powściągliwości. Pożądał jej, to było oczywiste. Powinno jej to pochlebiać, a było inaczej. Czula się upokorzona, zagniewana, ponadto doszła do smutnej konkluzji:

On zapewne z góry założył, że nie skonsumuje tego małżeństwa.

Dzięki temu dokona zemsty doskonałej, kiedy upajać się będzie udręką sir Johna, którego jedyna córka zwiędnie jak stara panna, bez męzowskiej miłości i dzieci.

I mimo tej smutnej konkluzji - pragnęła jego miłości. ..

Jak ją zdobyć? Nad tym głowiła się wielokrotnie, także tego dnia,

kiedy Robert z Manusem

i Gavinem wyjechali z zamku, a ona, pozostawiona sama sobie, postanowiła udać się na dłuższą przechadzkę. Przecież właśnie podczas przechadzki przychodzą do głowy najlepsze pomysły. Szybkim krokiem opuściła komnatę, obierając najkrótszą drogę wiodącą na zamkowy dziedziniec, czyli przez pralnię. Dotarła tam po niedługim czasie. W przestronnej zamkowej pralni, która, o dziwo, nie popadła w taką ruinę jak reszta zamku, było parno i unosił się zapach mydła. Przecież to środa, przypomniawszy sobie Anne, dzień, w którym Grizel i Marta zwykle robią pranie.

Środa środą, ale pralnia wydawała się pusta.

Anne, pochyliwszy głowę, zaczęła przechodzić pod rozwieszoną na sznurach bielizną. Kiedy zbliżała się do drewnianych kadzi, usłyszała nagle głos Marty:

- Przysięgam na grób mojej babki, że na prześcieradłach nie było żadnych śladów, pani ochmistrzyni. Dziwne ... Przecież nasz pan sam chciał tego ślubu! Poślubił lady Anne, a teraz wcale nie chce żyć z nią jak mąż z żoną.

Anne, ukryta za rozwieszoną ogromną płachtą, skwapliwie skinęła głową. Zgadzała się z Martą całkowicie.

- Chyba mylisz się - odparła Grizel. - Głowę sobie dam uciąć, że Macqueen, biorąc ją za żonę, wcale nie miał celibatu na myśli.

- A ja jestem pewna, że oni ani razu nie spali w jednym łóżu!

- Może poszli gdzie indziej?

- A dokąd, pani ochmistrzyni? Do stajni? Do chlewika? Wdrapali się na portyk albo wskoczyli do kadzi z farbą? O, nie! Nawet gdyby panu coś takiego przyszło do głowy, nie sądzę, żeby lady

Anne na to przystała.

Anne ponownie skwapliwie skinęła głową.

- Ja też tak myślę - przytaknęła ochmistrzyni.

- I musi być jakiś powód, że jest jak jest.

- Ale jaki? Lady Anne mu się nie podoba? Przecież ona jest bardzo ładna.

Lady Anne niby wydęła usta, ale zaraz potem uśmiechnęła się z

zadowoleniem.

- Bardziej niż ładna - powiedziała ochmistrzyni. I wcale nie jest mu obojętna. Obie dobrze pamiętamy, jaki diabeł w niego wstąpił, kiedy odesłał ją wtedy do Ravenscrag. Niby sam tego chciał, a potem nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ona zauroczyła go już wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. A teraz to jest po

prostu w niej zakochany.

Zakochany?! Anne z niedowierzaniem potrząsnęła głową. Który zakochany mężczyzna nie pragnie zakosztować wdzięków damy swego serca?

- Ona zresztą w nim też. Pamiętasz, jaka była lady Anne na początku? Taka odważna. Sama przyплыnęła na naszą wyspę, choć omal nie przyplaciła tego życiem. Potem, jak jeszcze była ledwo żywa, rwała się do ucieczki. A teraz jest potulna. Cichutka jak myszka. Miłość największą sekutnicę zmieni w owieczkę! Obie kobiety zaśmiały się głośno, a Anne aż krzyknęła cicho. Ona - owieczką? Jak one śmia!

Dość już się nasłuchiwała! Wyszła z pralni, z powrotem na zamkowy korytarz i ruszyła po prostu przed siebie. Szła dobrą chwilę bez celu i nagle, nie wiadomo kiedy, znalazła się w komnacie, skąd wchodziło się do komnat jej męża, w których, ona, żona, nigdy jeszcze nie była. Zawahała się, ale ciekawość przeważała. Podeszła do drzwi i zdecydowanym ruchem nacisnęła na klamkę.

Była poruszona tym, co ujrzała. Komnata była prawie pusta, stało tu tylko łóżko i wielka skrzynia, nic więcej. Co prawda, reszta zrujnowanego zamku nie wyglądała lepiej. Nie było tu rzeźbionych sprzętów, gobelinów na ścianach ani miękkich kobierców. Nie było tu niczego, świadczącego o bogactwie pana

zamku.

**- On nie ma nic, dosłownie nic - szepnęła Anne, nagle porażona
ogromem strat, jakie poniósł lord, kiedyś przywódca potężnego**

klanu.

Jej wzrok przemknął po nagich ścianach i spoczął na wielkiej skrzyni. Nie mogła się powstrzymać. Otworzyła ją i zerknęła do środka z niepohamowaną ciekawością. Ubrań Robert Macqueen miał równie niewiele jak sprzętów, ale kiedy dotknęła ich, przekonała się, że uszyte są z drogich materiałów. Są tylko już bardzo stare, znoszone i rozpaczliwie domagają się naprawy. Przysiadła obok skrzyni, dalej penetrując jej zawartość. Znalazła srebrny sztylet i skórzaną sakwę, w środku zabrzęczało kilka srebrników. Była tam też Biblia i dwa przedmioty, zapewne najdroższe jego sercu. Drewniany dziecinny bąk i błękitna jedwabna wstążka. Pamiątki po tych, których kochał ...

Na dnie skrzyni leżał gruby kajet w skórzanej oprawie. Anhe wyjęła go bez chwili wahania i otworzyła malutki srebrny zameczek.

Z

aczęła czytać.

Czytała z coraz bardziej ściśniętym sercem. Na pierwszych stronicach Robert w krótkich, oszczędnych i jakże przejmujących słowach opisał bitwę pod Culloden. O tym, jak zginęli wszyscy mężczyźni z jego klanu. O tym, jak po powrocie do Ravenscrag nie zastał przy życiu ani żony, ani synka: Zabito ich, tak jak żony i dzieci wszystkich członków klanu.

Niewiele słów, a każde z nich wyciskało łzy z oczu. Tak samo przejmujący był opis jego męczarni po wszystkich tych tragicznych wydarzeniach, kiedy zaczęły go nękać straszne sny.

W tych snach przeżywał wszystko jeszcze raz, w tych snach nawiedzały go też duchy tych, co odeszli bezpowrotnie. Każda noc była nieopisanym cierpieniem, zbyt wielkim, aby poranek przyniósł spokój i ukojenie.

Cierpieniem tym większym, bo wszystkich tych tragedii doświadczył człowiek wrażliwy, o dobrym sercu, oddany swojej rodzinie. Człowiek, który kiedyś wierzył w miłosierdzie i moc przebaczenia. Okrutne poczynania innych ludzi odebrały mu tę wiarę, a ból i rozpacz zmieniły go w innego człowieka. Człowieka karmiącego się już tylko gniewem i pragnieniem odwetu.

A potem ... potem nagle Anne zobaczyła swoje imię. Robert pisał o niej, o swoich prawdziwych uczuciach, które wobec niej

skrywał głęboko. Zachwycił się jej urodą, młodością i miłym,
łagodnym obejściem, choć pod tą powłoką łagodności kryła się

natura raczej wojownicza.

" ... Ona wniosła do mojego życia dobro, napelniła ciemność światłem i dała mi nadzieję. Jest moim wybawieniem, uzdrowicielką, która uleczy mnie z mojej przeszłości. Obietnicą na przyszłość, moim aniołem miłosierdzia, moim światłem przewodnim ... "

Podniosła głowę. W jej uszach zadźwięczały nagle słowa, które Robert wypowiedział któregoś wieczoru. Wtedy nie pojęła, o co mu chodzi. A on przecież mówił... o niej.

"Nadzieja... Nadeszła jak anioł skrzydlaty, z rozpostartymi ramionami, anioł miłosierdzia i światła".

Otarła łzy. Zamknęła kajet i ułożyła z powrotem na dnie skrzyni. Zanim jednak zamknęła wieko, wyjęła z niej znoszoną płócienną koszulę i przyciskając ją do piersi, podeszła do łóża. Położyła się na nim i jeszcze raz spojrzała na skąpe sprzęty, na gołą posadzkę.

Robert Macqueen, pan Czarnego Zamku był jak ten zamek: kiedyś potężny, dający innym schronienie, teraz jest niczym więcej jak kruszejącym kadłubem. Zamek zniszczyły żywioły, Roberta - osobista tragedia. Z człowieka silnego, o dobrym sercu i bystrym umyśle, z kochanego przez wszystkich lorda, zmienił się w człowieka ponurego, zagubionego i mściwego.

Nikt i nic jeszcze dotąd nie poruszyło lady Anne tak mocno.

Przerażona była, jak niesprawiedliwie osądzają go inni ludzie. I

pełna żalu do samej siebie. Ona też osądzała go błędnie, nie
okazała mu ani serca, ani zrozumienia, którego on tak

rozpaczliwie potrzebuje ...

Ukryła twarz w koszuli, przesyconej zapachem Roberta i rozplakała się. Z żalu nad człowiekiem, który po tak strasznych kolejach losu doświadczał kolejnego cierpienia. Bo człowiek cierpi straszliwie, kiedy żyć musi, a wcale tego nie pragnie ...

Lady Anne przestała płakać i pojęła decyzję. Postanowiła czekać tu na niego. A kiedy przyjdzie, powie mu wszystko, co czuje teraz w swoim obolałym od nadmiaru uczuć sercu. Powie mu, że pojmuje jego ból i rozpacz z powodu tak bolesnej straty. Pojmuje, też, co chciał jej wtedy powiedzieć. I pragnie z całego serca, aby stało się tak, jak on tego zapragnął. Bo go kocha ...

Czekała i płakała. Płakała i powtarzała sobie w duchu wszystko, co chciała mu powiedzieć. Bo chciała powiedzieć jeszcze więcej, o wiele więcej ...

W końcu, taką splakaną, zmorzył sen. A kiedy otworzyła oczy, nie było przy niej Roberta i nie było sposobności, żeby otworzyć

przed nim serce.

Do Czarnego Zamku przybył sir John na czele zbrojnych i uprowadził lady Anne Macqueen.

Macqueen, kiedy po powrocie do zamku dowiedział się o uprowadzeniu jego żony, wpadł w straszliwy gniew. Miotł się po zamku, niszcząc wszystko, co napotkał na swej drodze. A każdą napotkaną osobę obrzucał inwektywami. Nikt, nawet stary Manus i wierna Grizel nie byli w stanie powstrzymać tego szaleństwa. Mogli tylko się przyglądać. Patrzyli więc i załamywali ręce. Do chwili, gdy Macqueen, wyrzuciwszy z siebie pierwszą wściekłość, chwycił za strzelbę i zamierzał udać się do Ravenscrag. Po swoją żonę. Wtedy stary Manus chwycił za grube polano i z całej siły uderzył Macqueena w głowę, pozbawiając go przytomności.

Potem razem z Grizel zanieśli go do łoża, przywiązali do słupków i przez dwa dni poili odurzającymi ziołami.

Trzeciego dnia Macqueen uspokoił się. Był znów sobą.

Zachowywał się normalnie, myślał racjonalnie, nadal jednak zdecydowany był siłą odebrać to, co zostało mu ukradzione.

Dlatego Manus uwolnili go z więzów dopiero wtedy, kiedy dał słowo, że jeszcze z tym poczeka. Jeden dzień.

Anne, kiedy przywieziono ją do Ravenscrag, chciała porozmawiać z ojcem, ale sir John odmówił. Wówczas Anne

zamknęła się w swojej komnacie. Nie otwierała nikomu. Nie jadła, nie piła. Przysięgła sobie, że będzie głodować, póki ojciec nie ustąpi. Albo z tej komnaty wyniosą ją prosto na cmentarz.

Trzeciego dnia sir John posłał po nią. A ona już od progu oświadczyła mu:

- Chcę tam wrócić, ojcze. Nie masz prawa rozłączać mnie z moim mężem.

- Mam do tego pełne prawo - rzucił z gniewem. - Jesteś moją córka, a ten lajdak siłą zmusił cię do małżeństwa!

- Do niczego mnie, ojcze, nie zmuszał. Sama wyraziłam zgodę.

- Niezależnie od tego małżeństwo będzie anulowane.

- Nie można anulować małżeństwa, które zostało

skonsumowane.

- Można. Jeśli przysięgniesz, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Albo nigdy już nie ujrzysz światła dnia! Wolę widzieć cię martwą, niż patrzeć, jak poświęcasz swoje życie temu potworowi, w zamian za moje.

- Ale tego małżeństwa naprawdę nie można anulować, ojcze.

- Można! Ja już o to wystąpiłem.

- W takim razie musisz wszystko odwołać - oświadczyła ze spokojem, który zdumiewał ją samą: - Bo ja nie będę kłamała, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Chociażby dlatego, że prawda i tak wkrótce wyszłaby na jaw.

- Jaka prawda? O czym ty mówisz?

- Nie domyślasz się, ojcze? Jestem przy nadziei. A tego, niestety, nie da się ukryć.

Gniew ojca znikł jak ręką odjął. Przygarbił się, twarz mu poszarzała, a oczy posmutniały. Jego bezradność była żalosna.

- Anne - odezwał się po chwili. -.Postaraj się mnie zrozumieć. Ja już długo nie pożyję, a w ciągu mojego życia nigdy niczego dla ciebie nie zrobiłem. Dlatego sądziłem, że jeśli wyrwę cię z rąk Macqueena ... przynamniej to dla ciebie uczynię, żeby w jakiś sposób wynagrodzić ci te lata, kiedy nie było mnie przy tobie.

- Ojcze!

Anne podeszła do ojca i objęła go serdecznie.

- Czy ty nie pojmujesz? Nie chcę, żebyś mi cokolwiek wynagradzał! A już na pewno nie niszczył mojego małżeństwa, którego bardzo pragnę.

- Kochasz go, dziecko?

- Całym sercem.

Ojciec westchnął.

- Och, dziecko ... Tylu jest mężczyzn na świecie ... Dlaczego właśnie on? .

- Może Bóg tak chciał. Ze by zadośćuczynić złu wyrządzonemu mu

wiele lat temu.

Sir John sposepniał jeszcze bardziej. Zamyślił się na chwilę, potem pogłaskał Anne po rękę i powiedział zmęczonym głosem.

- Wybacz, dziecko. Muszę teraz odpocząć.

- Tak, ojciec.

U całowała go w policzek i ruszyła ku drzwiom.

Ale w progu odwróciła się i spytała:

- Kiedy pozwolisz mi wrócić do niego, ojciec? Niepokoję się o mojego męża, chcę go zobaczyć jak najszybciej.

- Zobaczysz go niebawem, dziecko. Przyrzekam ci.

Robert Macqueen, dojechawszy do bram zamku Ravenscrag, nagle się zatrzymał. Nie był pewien, czy będzie w stanie wejść do swego dawnego domostwa, gdzie, być może, za dębowymi drzwiami czyha cała dawna udręka. Znow duchy przeszłości każą mu zanurzyć się w bolesnych wspomnieniach ... Kiedy jednak pomyślał, z jakiej to przyczyny tu się znalazł, wystarczyło mu odwagi i determinacji, żeby wjechać galopem na dziedziniec.

Zeskoczył z konia i załomotał do drzwi.

Sir John czekał na niego w bibliotece. Poprosił gościa, żeby usiadł. I zaproponował szklaneczkę porto. A może brandy.

- Nie, dziękuję, sir John. Nie przybyłem tu z wizytą, lecz po moją żonę.

_ Anne za chwilę zejdzie na dół. Ale póki jej nie ma, chciałbym

porozmawiać z tobą. Powiadomić cię o czymś.

_ Może ja wcale nie jestem tego ciekaw, sir John.

- Ale może jednak warto, żebyś mnie wysłuchał, panie. Dziś rano spotkałem się z moim prawnikiem. Zamek Ravenscrag jest znów twój. Dokumenty opatrzone moim podpisem są już w drodze do Londynu. Do dokumentów dołączyłem list do króla, w którym opisałem, co ci uczyniono i wyraziłem swoją chęć naprawienia wyrządzonych ci krzywd ... Jednym słowem, napisałem do króla, że ty i twoja rodzina padliście ofiarą wielkiej niesprawiedliwości. Angielscy żołnierze nie powinni zabijać żon i dzieci szkockich buntowników ... Zawsze tak uważałem i dlatego nie pozwoliłem strzelać do ciebie, kiedy przybyłeś pod mury zamku. Miałem już dość rozlewu niewinnej krwi. Szkoci przegrali na polu walki i to powinno nam, Anglikom, wystarczyć. Nie wolno było zabijać ich rodzin. I ja nigdy nie wydałem takiego rozkazu. Gdy tu przybyłem, było już po wszystkim. Na moich rękach nie ma krwi twoich bliskich. Ale już dość o tym. Wiem, że i tak mnie nienawidzisz, jak każdego angielskiego żołnierza. Może zauważyłeś, panie, że powóz czeka już na mnie. Wyjeżdżam do Italii, tamtejszy łagodny klimat ma być ponoć zbawienny dla

mojego zdrowia.

**Twarz Roberta pozostała zimna i niewzruszona. Nie wierzył temu
człowiekowi, miał zresztą ku temu powody. A jedyną dobrą
rzeczą, jaką temu człowiekowi udało się uczynić, było splodzenie**

Anne.

Sir John powoli podniósł się z krzesła.

- Wiem, że trudno ci zaufać mi i uwierzyć w cokolwiek, co powiem. Ale czas pokaże, że mówię prawdę. Niestety, czas to właśnie coś, czego mi brak. Dlatego chciałbym przed wyjazdem coś jeszcze powiedzieć. Choć nie przychodzi mi to łatwo, muszę to uczynić. Jak już ci mówiłem, nie zabiłem nikogo, kogo kochałeś, ale przyznaję, że jestem winien, bo skorzystałem na twoim nieszczęściu. Wreszcie pojąłem to, panie, i bardzo nad tym boleję. Nie ludzę się, że mi wybaczysz, tym bardziej że niczego zmienić już nie można. Moją jedyną nadzieją jest to, że może w jakiś sposób będę mógł za to odpokutować.

Wolnym krokiem podszedł do drzwi po drugiej stronie biblioteki i otworzył je. Za drzwiami stała Anne. Na znak dany przez ojca przekroczyła próg. Sir John ujął ją pod ramię i podprowadził do Roberta. Wziął ją za rękę. I wyciągnął jej rękę w jego stronę.

- Co ci zabrałem, oddaję - powiedział wzruszonym głosem.

Robert przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, patrząc na Anne, która wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. W końcu ujął jej dłoń i przyciągnął Anne do swego boku.

Anne uśmiechnęła się promiennie, wzięła go pod ramię i oboje

wyszli na zamkowy dziedziniec.

Już po chwili machali gorliwie, póki powóz, uwożący sir Johna do słonecznej Italii, nie znikł im z oczu.

A potem Robert nagle objął ją i delikatnie pocałował.

_ Jak przekonałeś swojego ojca, żeby zmienił zdanie? - zapytał, odrywając usta od jej słodkich warg.

_ A. .. powiedziałam mu tylko takie małe kłamstewko.

_ Kłamstewko, mówisz? Nic nie znaczące kłamstewko?

- Co to, to nie! Kłamstewko, owszem, ale w kwestii bardzo znaczącej. Tak przynajmniej sądzę.

•
- Powiesz mi, czy mam usychać z ciekawości?

_ Powiem. Otóż, kiedy przywieziono mnie tutaj, okazało się, że ojciec sprowadził już prawnika i kazał mu zająć się anulowaniem naszego małżeństwa.

- A to lajdak!

- Proszę cię, Robercie ... To już przeszłość ...

_ Dobrze. Więc ... były lajdak. Powiedz teraz, co to było za kłamstewko.

_ Powiedziałam mu, że jestem ... przy nadziei.

Robert uśmiechnął się bardzo szeroko i znów ją pocałował, ale tym razem bardziej namiętnie. I kiedy jeszcze kręciło się jej w głowie po tym gorącym pocałunku, porwał ją na ręce i wniósł z

powrotem do zamku.

- Dokąd mnie niesiesz, Robercie?

- Do twojej komnaty. Którędy to?

- Schodami na górę, ostatnie drzwi. .. po prawej stronie.

Zaczęła całować jego twarz, szyję, jego ucho. - Jeśli nie

przestaniesz, nie zdążymy dojść do twojego łóża, Anne.

- Mojego łóża? A po co niesiesz mnie do mojego łóża, Robercie

Macqueen?

- Jak to po co? Po to, żeby twoje małe kłamstewko stało się

prawdą, Anne Macqueen!